NOWOŚĆ
Wincenty Cygan
GRANATOWA ZAŁOGA
Płóc. oprawa. Złocenia. Obwoluta.
Stron 360. CENA 15/-
Na żądanie wysyła
KATOLICKI OŚRODEK
WYDAWNICZY „VERITAS"
12 Praed Mews, London, W. 2

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

CENA 1s 6d

ROK X. Nr 1 (445)

NIEDZIELA, 1 STYCZNIA 1956 R.

JEŚLI LEKI, TO Z APTEKI
GRABOWSKIEGO
175, DRAYCOTT AVENUE,
LONDON, S.W.3. ENGLAND

PUNKTY WIDZENIA

PROBIERZ CZASÓW

Gdy się zaczyna nowy rok chronologiczny, rok kościelny jest już w pełnym toku. Dzień 1 stycznia jest bowiem dniem oktawy Bożego Narodzenia i Kościół czci w nim w swej liturgii mszalnej i nieszpornej nie tylko Nowonarodzonego, ale i Jego Niepokalaną Matkę za Jej udział w Odkupieniu ludzkości. Przepiękne są te prastare modlitwy i antyfony, w których, jak na przykład w oracji mszalnej, prosimy:

„Boże, Tyś przez płodne dziewictwo Najświętszej Maryi Panny dla rodzaju ludzkiego zgotował łaskę zbawienia wiecznego: daj nam, prosimy Cię, abyśmy doznali skutecznego pośrednictwa Tej, przez którą otrzymaliśmy Dawcę Życia, Pana naszego, Jezusa Chrystusa, który z Tobą żyje i króluje w jedności Ducha Świętego, Bóg przez wszystkie wieki wieków. Amen".

Akcent maryjny w tej oracji i w modlitwie po Komunii jest tak silny, że na pierwszy rzut oka można by mniemać, iż przeznaczone one są na jakąś uroczystość ku czci Bogarodzicy. W tym też okresie liturgicznym śpiewa Kościół piękny hymn z XI wieku:

Alma Redemptoris Mater...
Święta Matko Odkupiciela,
Bramo niebios zawsze otwarta,
Gwiazdo Morza!...

Jej też — Almae Redemptoris Matri — polecamy wszystkie sprawy duchowe i doczesne w idącym roku, którego początek nadaje temu dniowi szczególny charakter.

Liturgia gallikańska zaczęła od VI wieku czcić w tym dniu również pamiątkę poddania się Zbawiciela obrzędowi obrzezania, z którym związane było nadanie chłopcu imienia. Wyraża to dziś najkrótsza w roku Ewangelia mszalna, składająca się z jednego tylko wersetu — św. Łukasz, 2, 21, — gdyż już w IX w. liturgia rzymska połączyła ten temat i temat maryjny, jako do siebie zbliżone. Wprowadzoną przez franciszkanów uroczystość Najświętszego Imienia Jezus weszła od w. XV do całego Kościoła i dziś obchodzi się ją między dniem Obrzezania a dniem Objawienia Pańskiego czyli Epifanii (zwanej u nas świętem Trzech Króli). Imię Jezus oznacza Zbawcę.

Stare zapiski świadczą, iż były okresy, kiedy to nowy rok zaczynano od Bożego Narodzenia, stąd też powstała polska nazwa tego święta G o d y, jako że w nie spotykał się g o d czyli rok stary z idącym. Ale nie było wygodne zaczynanie roku z końcem miesiąca i wrócono do starego zwyczaju zaczynania go od dnia 1 stycznia.

W świecie katolickim panuje zwyczaj, iż na zakończenie roku, w dniu 31 grudnia, odbywają się w kościołach nabożeństwa, aby podziękować Bogu za otrzymane łaski i dobrodziejstwa w roku minionym i prosić o błogosławieństwo na rok przyszły.

*

Koniec starego i początek nowego roku przypominają nam ważną prawdę o przemijaniu czasu, toteż z pewną melancholią myśl ludzka biegnie ku tym minionym dniom, z których żaden już nie wróci, jak nie wróci też i ten ostatni dzień w roku, kiedy to mamy sposobność zatrzymania się myślą nad uchodzącym okresem naszego życia. Czas jest bezcennym darem Bożym, a rok to 365 sposobności do dobrego, pełnego przeżycia dnia, do zasługi przed Bogiem. Patrząc za siebie w czas, chrześcijanin ocenia przebytą drogę i wyciąga wnioski na przyszłości, robi postanowienia i planuje, wciągając w rachunek dobrych zamiarów pomoc Bożą, o którą prosi. W tym też duchu składamy i przyjmujemy życzenia pomyślnego Nowego Roku.

Jakże obca nam jest ta jakby nawpół wiara w magię Nowego Roku, który automatycznie ma być nie tylko inny, ale stanowczo lepszy od minionych i przede wszystkim pod względem materialnym bardziej pomyślny. Jak najszczerzej rodakom naszym na obczyźnie należy życzyć owej pomyślności i powiększenia powszechnego dobrobytu naszego społeczeństwa, ale nie można przy tej sposobności nie zwrócić uwagi na to, że dobrobyt materialny tylko wtedy spełnia swą rolę, gdy służy dobrobytowi moralnemu i kulturalnemu. I że pociąga on za sobą poważne obowiązki zarówno rodzinne jak i szersze społeczne.

Zwłaszcza ludziom przebywającym na Zachodzie warto może to przypomnieć, iż nie wszystko co się dobrobytem nazywa jest nim naprawdę. Żyjemy bowiem w czasach, kiedy krzykliwa reklama zasypuje człowieka luksusem takiej tandety, i to nawet w zakresie „kultury", że w niej po prostu gubią się rzetelne wartości ludzkiego życia i jego urok. Wystarczy spojrzeć tylko na to, co zrobiono ze świętem Bożego Narodzenia, z którego pozostała już tylko nic nie mówiąca ludziom nazwa „Christmas", zawierająca przecież Imię rodzącego się wśród nas Zbawiciela. Ale przesłonił Je szych handlowych reklam i zagłuszył hałas bijący z głośników. W porównaniu z tym, jakiejże radosnej godności i powagi nabierają nasze polskie Gody, święcone z wiarą na polskiej wsi, czy w polskim miasteczku. Do tych naszych tradycji kultury religijnej i narodowej nawiązujemy dziś na uchodźstwie, może sobie nawet nie zdając sprawy z tego, że ta kultura polega na dystansie wobec spraw materialnych, na wpojonym nam poczuciu hierarchii wartości, zgodnym z tą modlitwą, która prosi o dobra doczesne, ale o tyle i takich, abyśmy nie zapomnieli o dobrach wiecznych.

Nie można jednak zamykać oczu na to, że dla wielu ludzi dobrobyt staje się wyłącznym celem ich dążeń i że jego zdobyciu i powiększaniu poświęcają wszystkie inne cele. Z wyższym poziomem życia materialnego, jakie tu osiągają, zwykli ci ludzie często łączyć obce nam treści życia. Odchodzą oni bowiem od Wiary i od polskości, zapominają o wychowaniu po katolicku i po polsku swych dzieci, nie chcą dać ani grosza na cele polskie, na polską szkołę, książkę i gazetę. Nie brak wśród nich , na szczęście nielicznych, jednostek wychowanych w Polsce i posiadających polskie stopnie uniwersyteckie.

Nie przeszkadza to, że ci sami ludzie gotowi są wyrzekać na naiwność polityczną Zachodu, który w swym egoizmie materialnym chce tylko spokojnie przeżywać swój dosyt i pozostawia w niewoli całe narody, bo nie chce ryzykować niczego, co by mogło mu zakłócić ów spokój trawienia. Co więcej, ci ludzie jeszcze nie rozumieją, że nawracanie komunistów na dobrobyt jest tylko zamianą jednego materializmu na inny, więcej atrakcyjny, ale tak samo groźny dla prawdziwej ludzkiej kultury duchowej i sprzeczny z celami człowieka.

Olbrzymia większość ludzi mających otwarte uszy, serca i kieski na wszystkie apele społeczne, ludzi niezamożnych, często obarczonych wielkimi rodzinami, gorąco reaguje na wszystkie nasze potrzeby, śpiesząc z ofiarą w czasie i w groszu. Wystarczy stwierdzić, że na listach składkowych, w kartotekach polskich czasopism, wśród nabywców polskich książek, w kołach Polskiej Macierzy Szkolnej, w komitetach szkolnych itp. spotyka się często te same nazwiska, a przy nich może niewielkie, ale stałe kwoty. Może sobie oni nawet nie zdają sprawy jak dalece na nich i nimi stoi wiele polskich spraw ogólnych na emigracji.

Miarą kultury moralnej i społecznej człowieka jest jego gotowość do ofiar. Dziś ofiarność ludzi stała się probierzem czasów, jakie nam przeżywać wypadło.

*

Życzymy wszystkim rodakom na obczyźnie, aby rok obecny był dla nich jak najpomyślniejszy i aby przy jego końcu mogli z zadowoleniem stwierdzić, że się ze swej dziesięciny polskiej uiścili.

J. Cz.

Czas odnowić prenumeratę
ŻYCIA
na I kwartał 1956 roku

ANDRZEJ POMIAN

LIST Z AMERYKI

P O O M A C K U

Waszyngton, w grudniu 1955

Były prezydent Truman ogłosił niedawno tom pierwszy „Pamiętników", obejmujący okres do końca 1945 roku. Pisząc o konferencji poczdamskiej polityk amerykański notuje szczegółowo przebieg dyskusji. Jedną ze spraw, w której przywódcy Wielkiej Trójki nie osiągnęli porozumienia było zagadnienie uznania rządów, narzuconych przez Rosję pokonanym sprzymierzeńcom Rzeszy Niemieckiej: Rumunii, Węgrom i Bułgarii. Truman i Churchill, opierając się na postanowieniach jałtańskich, obstawali, że uznanie może nastąpić dopiero po wypełnieniu warunków tj. po wyłonieniu „rządów, odpowiedzialnych wobec woli narodu" w drodze „wolnych wyborów". Stalin domagał się natomiast uznania natychmiastowego.(1)

Interesującym uzupełnieniem relacji Trumana są wspomnienia prof. Filipa Mosely. Brał on udział w konferencji, jako jeden z ekspertów amerykańskich i znając doskonale język rosyjski, miał możność ocenić treść wynurzeń Stalina na podstawie jego własnych słów, a nie wedle wersji, podanej przez oficjalnego tłumacza rosyjskiego. I oto co się w pewnym momencie wyrwało dyktatorowi rosyjskiemu: „Każdy rząd swobodnie obrany byłby antysowiecki, a do tego my dopuścić nie możemy".(2)

Nie był to jedyny moment szczerości Stalina. Jak podaje Truman, gdy dyskutowano problem polskiej granicy zachodniej, twardy Gruzin określił aż nadto dobitnie swoją politykę: „Chcę stworzyć dla Niemców warunki tak trudne, by potęga niemiecka nigdy się już nie mogła odrodzić".(3)

Najbardziej stanowcze postanowienia nie zawsze jednak mogą być dotrzymane. Sformułowania więc Stalina, choć ujmują one wiernie istotne w rozumieniu Rosjan ich interesy państwowe, mogą też z czasem ulec gruntownej rewizji, nawet bez wojny. Aby to się jednak stało, musiałyby zajść wydarzenia, które w imię interesów jeszcze bardziej żywotnych, skłoniłyby Rosję do poniechania swojej dotychczasowej linii politycznej. W ciągu lat dziesięciu — od Poczdamu do Genewy — nic takiego nie zaszło. Jest więc rzeczą wręcz niepojętą, jak mocarstwa zachodnie mogły żywić najlżejszą choćby nadzieję, że Rosja odstąpi od swych planów i zezwoli najpierw na wolne wybory w Niemczech, a następnie — stopniowo — w krajach ujarzmionych. Wolne wybory, przeprowadzone obecnie, czy w niedalekiej przyszłości, oznaczałyby nie tylko koniec hegemonii rosyjskiej w Europie Środkowo-Wschodniej, ale i przesunięcie się sfery wpływów politycznych Zachodu aż do granic Związku Sowieckiego. W imię czego miałaby Rosja, nie otrzymując w zamian praktycznie nic, zgodzić się na taki stan rzeczy, który równałby się skutkom przegranej wojny? Nie jest rozsądnie zakładać, że wróg jest głupi, lub nie ma rozeznania własnych interesów.

Dwie więc wyprawy zachodnie do Genewy nie powinny się były spodziewać żadnych powodzeń. Byli wprawdzie tacy, którzy sądzili, że przez okazanie dobrej woli i ujawnienie istotnych zamiarów rosyjskich, Zachód uzyska sukces propagandowy, przekona niewiernych, umocni wątpiących, a zachwieje koncepcjami neutralistów. Nadzieje takie oparte były jednak na złudzeniu.

Istotne zamiary rosyjskie były od dawna jasne dla wszystkich, którzy mieli choćby szczyptę rozumu. Kogo nie przekonały ani zachowanie się Rosjan podczas powstania warszawskiego, ani ujarzmienie krajów Europy Środkowo-Wschodniej, ani blokada Berlina, ani wojna koreańska, ani działalność piątej kolumny sowieckiej, tego już nie przekonają żadne argumenty. Równie pochopne były rachuby na kraje neutralne tj. w pierwszym rzędzie — na Indie. Politycy hinduscy nie są ani głupcami, ani utopistami. Choć to się może nie podobać wielu emigrantom polskim, Nehru prowadzi politykę przede wszystkim w interesie własnej ojczyzny i wedle doświadczeń historycznych, wprawdzie smutnych, lecz poza tym od naszych odmiennych. Pomny losów krajów, które kosztem własnej niepodległości przyczyniły się walnie do wygrania wojny przez innych, przywódca hinduski nie ma zaufania do niczyich zapewnień. Obawia się równie dominacji Wschodu, który chciałby wszędzie mieć swych agentów i policję, jak i dominacji Zachodu, który chciałby wszędzie mieć swoje bazy wojskowe, a przynajmniej swego kapitalistę. Uważa, że rywalizacja obu grup mocarstw stwarza dla niego okazję do uzyskania koncesji i świadczeń kosztem najtańszym. Jeśli obiektywny obserwator często nie przyznaje mu racji, nie może również w wielu wypadkach całkiem mu jej odmówić.

Nie zmierzam jednak bynajmniej do wniosku, że konferencje genewskie były niepotrzebne, tak jak to utrzymuje większość polskiej prasy emigracyjnej Jeśli wroga nie można pobić, trzeba się starać z nim dogadać — oto stara maksyma polityczna. Rozumielibyśmy ją sami doskonale, gdyby stolica nasza była w Warszawie, a nie w pobliżu Earls Court'u. Zdawaliśmy też sobie dobrze z niej sprawę w okresie niepodległości. Gdy w roku 1932 zawieraliśmy z Rosją pakt nieagresji, znaliśmy świetnie zbrodnie rosyjskie i wartość złożonych przyrzeczeń. Wiedzieliśmy doskonale, że rozmawiamy z przedstawicielami państwa, które w tej właśnie chwili łamie głodem, zsyłkami i mordem miliony ludów ujarzmionych: Ukraińców, Białorusinów, Gruzinów, Tatarów, Uzbeków etc. Mimo to pakt zawarliśmy, gdyż w naszym rozumieniu przynosił on nam pewne korzyści. Gdy w roku 1934 zasiedliśmy do stołu wspólnych rozmów z Hitlerem, nie obce nam były zbrodnie niemieckie. Mimo to udawaliśmy, że uśmiechy przywódców nazistowskich bierzemy za dobrą monetę. I mówiliśmy po cichu, rozkładając ręce, że takie są realia polityki. Jeśli więc dzisiaj mocarstwa zachodnie mutatis mutandis znów wstępują na tę samą drogę, w naszych ocenach i radach starajmy się liczyć z bieżącymi realiami. Inaczej narażamy się na śmieszność bez najmniejszego pożytku dla naszej sprawy. I zachowujmy powściągliwość w rozdzieraniu szat. Oburzenie moralne pokonanych jest zawsze podejrzane.

Nie chcę też wcale twierdzić, że konferencje genewskie nie dały żadnych wyników. Pozostało po nich trzeźwe przekonanie, że przy względnej równowadze sił w epoce atomowej, żadna ze stron nie zaryzykuje wojny, aby zmienić status quo; przekonanie, które nieoczekiwanie zachwiało potężnie założeniami polityki Zachodu.

Choć bowiem mocarstwa zachodnie wojny nie chciały i były jak najdalej od zamiarów jej wywołania, wiele ich posunięć politycznych wynikało z obawy przed jej bliskim wybuchem. O planach na dalszą metę nie bardzo myślano. Co więcej, dla osiągnięcia celów doraźnych, poświęcano niejednokrotnie istotne interesy polityczne, które w obliczu bezpośredniego zagrożenia schodziły na plan dalszy. Gdy poczucie zagrożenia przeszło, wyszła na jaw krótkowzroczność wielu decyzji.

Najlepszego przykładu w tym względzie dostarcza sprawa Niemiec. Bezpośrednio po ustaniu działań wojennych, mocarstwa zachodnie miały w tej sprawie więcej atutów, niż Rosja. Trzy czwarte ludności Niemiec, największy w Europie okręg przemysłowy, a mianowicie zagłębie Ruhry, — znalazły się w ich ręku. Politycznie i gospodarczo tylko one mogły były w tym czasie zapewnić Niemcom swobodę rozwoju, a w dalszej kolejności — odtworzenie niepodległego naprawdę państwa. Na przełomie 1951/52 sztaby aliantckie doszły do przekonania, że do obrony Europy Zachodniej, potrzeba im koniecznie 12 dywizji, które Niemcy mogą wystawić. Potencjał ludnościowy Zachodu, górujący ogromnie nad potencjałem rosyjskim, nie wydał się im wystarczający. W imię tego — odbudowę Niemiec przyśpieszono. olbrzymi przemysł oddano z powrotem w stanie lepszym od przedwojennego i w zamian za parę traktatów — przywrócono Niemcom suwerenność. Tymczasem obawa przed bliską wojną ustała, dywizyj niemieckich jak nie było tak nie ma, Zachód zaś pozbył się wszystkich atutów, gdy Rosja przezornie swoje zachowała. Prasa amerykańska pełna jest teraz spekulacyj na temat, kiedy suwerenne Niemcy zaczną szukać zbliżenia z Rosją poza plecami Zachodu. Oto rezultaty polityki biorącej zbyt serio przesłanki dostarczone przez sztaby wojskowe.

Nawiasem mówiąc — nasze ziemie zachodnie nie są zagrożone i to jest jeden z nielicznych dla nas plusów obecnej sytuacji. Rosja nie ma najmniejszego interesu, aby wzmacniać nadmiernie potencjał gospodarczy i wojskowy żadnych Niemiec, nawet w całości komunistycznych. Uczyni ona wszystko, co leży w jej mocy, aby nie dopuścić do odbudowy potęgi tego kraju. Poczdamskie sformułowanie Stalina obowiązuje i nadal będzie obowiązywać. Polityka epoki Bismarkowskiej należy do bezpowrotnej bodaj przeszłości. Ostatecznie — w dwu wojnach światowych Niemcy były o włos od zadania Rosji decydującej klęski. Te doświadczenia są bliższe i realniejsze od doświadczeń z czasów żelaznego kanclerza.

*

Polityce zagranicznej Stanów Zjednoczonych nie pomaga przesadne mniemanie o sile atrakcyjnej wszystkich aspektów „American way of life". Nikt rozsądny nie może bez szczerego podziwu patrzeć na to, czego Ameryka nie dokonali w ciągu stu siedemdziesięciu dziewięciu lat od ogłoszenia niepodległości. Historia ludzkości nie zna chyba innego takiego przykładu, aby w tak krótkim stosunkowo czasie osiągnięto tak wiele. I nigdy w żadnym kraju przeciętny mieszkaniec nie żył na tak wysokiej stopie, jak w Ameryce. Mimo to w zakresie instytucji wewnętrzno-politycznych wiele krajów ciągle jeszcze bije Amerykę, a amerykański system gospodarczy, będący nowoczesną formą kapitalizmu, nie nadaje się do eksportu ani do Europy, ani do Azji. Nie chcę tu się wdawać w stare długie spory co do zalet i braków tego systemu. Notuję po prostu fakty. W Europie najbardziej postępowe kraje, jak Anglia i państwa skandynawskie, przeszły już przez etap kapitalizmu do epoki „welfare state". Podobna wizja zdaje się przyświecać krajom ujarzmionym: program Polski Podziemnej, zrywający zdecydowanie z kapitalizmem, nie wywołał właściwie żadnej poważniejszej kontrowersji. W Azji największe niepodległe państwa niekomunistyczne, nie uważają bynajmniej, by kapitalizm był niezbędnym ogniwem rozwojowym. Wręcz przeciwnie — dla takich np. Indyj, Burmy czy Indonezji, których rodzimy przemysł prywatny pozbawiony jest większych wpływów, kapitalizm, importowany z zewnątrz, stanowi po prostu synonim kolonializmu gospodarczego, znienawidzonego niemal tak namiętnie, jak kolonializm polityczny.

Wiele osób w Ameryce zdaje sobie doskonale z tego sprawę. Świetny dziennik stołeczny „The Washington Post" pisał o tym ostatnio kilkakrotnie.(4) Ale świadomość tego stanu rzeczy znajduje z trudem drogę do kół urzędowych. Przed kilku tygodniami tutejsze ministerstwo obrony wydało broszurę anonimową pt. „Militant Liberty". Wstęp, utrzymany w tonie niemal entuzjastycznym, napisał sam min. Wilson, przed objęciem stanowiska ministerialnego — dyrektor naczelny „General Motors", największego bodaj na świecie koncernu przemysłowego. Broszura wychodzi ze słusznego założenia, że dynamice ideologii komunistycznej przeciwstawić trzeba dynamikę ideologii wolnego świata. Wyjaśnia zatem, zresztą w sposób schematyczny, czym jest wolność w dziedzinie polityki, religii, wychowania, stosunków społecznych i gospodarczych. W tej ostatniej — bez ceremonii utożsamia ją z systemem kapitalistycznym. Gdyby broszura przeznaczona była tylko do wewnętrznego użytku w amerykańskich siłach zbrojnych — dałbym jej święty spokój. Niestety — ma ona ambicje apelowania do wszystkich narodów świata i stanowienia ważnego narzędzia w walce z komunizmem. Wolno Amerykanom podnosić zalety swego systemu. Wolno Europejczykowi, który znał kraje o niemniejszej wolności politycznej, lecz innym rozwiązaniu problemów gospodarczych, pamiętać o zaletach innych systemów. Do tej pory wszystko jest w porządku. Ale utrzymywać, że tylko jeden z systemów, praktykowanych w wolnym świecie, ma wyłączne prawo do figurowania w programie walki wolnego świata — jest zaślepieniem. A to właśnie czyni broszura. Obawiam się, że gdyby komukolwiek przyszło do głowy kolportowanie jej zagranicą, przyniosłaby ona więcej szkody, niż pożytku. Nie każdy bowiem ma możność poznania Ameryki. Nie każdy studiuje periodyki amerykańskie, należące do najlepszych. Nie każdy zna świetne osiągnięcia nauki amerykańskiej o ekonomii, która to nauka przoduje dziś bez wątpienia całemu światu. Nie każdy więc będzie mógł dojść do pobłażliwego zdania, że broszura oficjalna jest jeszcze jednym przykładem, jak żałosne bywają wyniki najlepszych zamiarów, jeśli ich wykonanie powierza się niewłaściwym osobom.

Sprawiedliwość każe przyznać, że alianci Ameryki bynajmniej nie ułatwiają zadań jej polityki. Szaleństwa brytyjskie w sprawie Cypru, anachroniczne pretensje mocarstwowe Francji w Afryce Północnej, napawać muszą niejednego głęboką troską. Polityka amerykańska jest tradycyjnie antyko-

(Dokończenie na str. 2)

Interesujący artykuł p. Andrzeja Pomiana posiada pewne sformułowania, które mają charakter dyskusyjny.

Ponieważ co do niektórych z nich i sama Redakcja ma inne poglądy, pragniemy potraktować ten artykuł jako dyskusyjny, prosząc Czytelników o nadsyłanie swych na ten temat wypowiedzi.

Red.

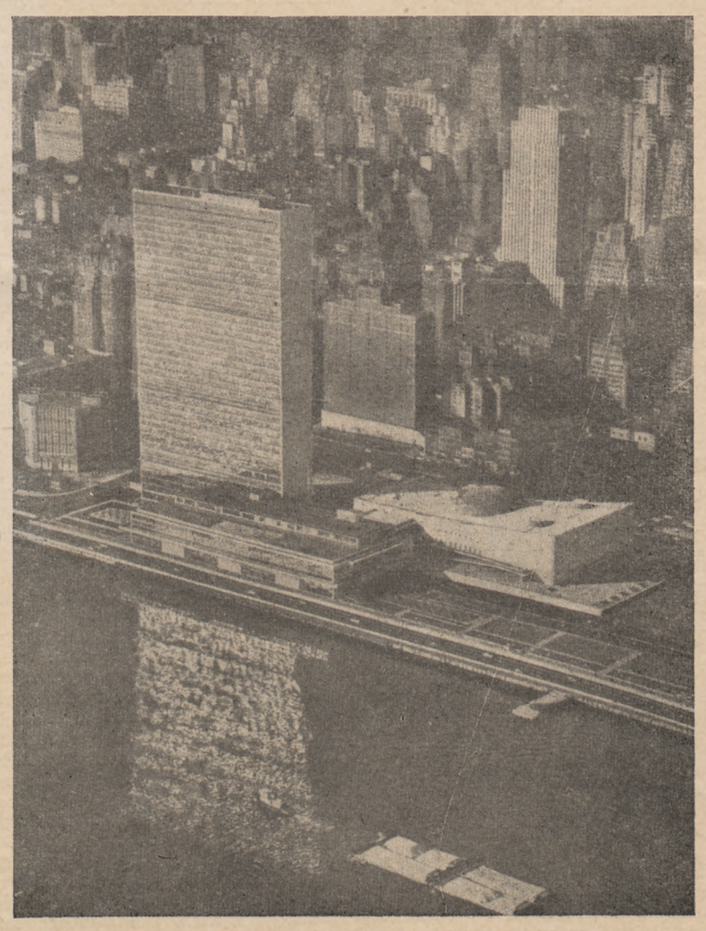

Fragment Nowego Jorku. Na pierwszym planie budynek ONZ.

PO OMACKU

JĘDRZEJ GIERTYCH

(Dokończenie ze str. 1)

lonialna. W dzisiejszym świecie, w którym jedna z największych batalii toczyć się musi o dusze milionów ludzi z tzw. „ras kolorowych" — żadna rozsądna polityka nie może być inna. Ale co począć, gdy ma się takich sprzymierzeńców?

*

Przykładem zamętu w polityce amerykańskiej jest jej stosunek do sprawy polskiej. Aby uniknąć wszelkich nieporozumień, muszę z góry podnieść, że szczera życzliwość Amerykanów względem Polski nie ulega żadnej wątpliwości. Ale, gdyby się na tym tylko kończyło, byłbym pełen najczarniejszych obaw: sympatie i wartości moralne, mają, niestety, znikome znaczenie w wielkiej polityce, z wyjątkiem oczywiście, stołecznego Earls Court'u. Na szczęście, Amerykanie zdają sobie w pełni sprawę z własnego interesu w wyzwoleniu narodów ujarzmionych. Cały więc problem sprowadza się nie do celu polityki amerykańskiej, który jest jasny, ale do środków, za pomocą których chce ona cel swój osiągnąć.

Do niedawna jedyne praktyczne rozwiązanie upatrywano w wymuszeniu na Rosji metodami politycznymi wykonania Jałty z jej wszechmocnym panacaeum wolnych wyborów. Jak dotychczas — nie zdało się to wszystko na nic. Wydobyto więc teraz koncepcję inną wypracowaną tutaj przed mniej więcej rokiem w kołach, stroniących raczej od rozgłosu: świadczy o tym deklaracja Dullesa po wizycie u Tity w Brioni przy jednoczesnym pominięciu całego zagadnienia narodów ujarzmionych zarówno w Genewie, jak i w sprawozdaniu publicznym Sekretarza Stanu po powrocie do Ameryki. Koncepcja ta buduje nadzieje na wzroście separatyzmów narodowych w partiach komunistycznych, czyli, krótko mówiąc, na titoizmie. Rzecz cała nie jest zresztą nowa. W Wielkiej Brytanii, która jest zwykle kuźnią najbardziej niebezpiecznych dla nas pomysłów, zetknąłem się z nią po raz pierwszy przed sześciu — siedmiu laty. Trzeba było czasu, aby zdołała ona przekroczyć Atlantyk.

Realnej wartości politycznej koncepcja nie ma, co jest dla nas Polaków wręcz oczywiste.

Do Jugosławii ręka NKWD właściwie nigdy nie docierała. W krajach ujarzmionych sytuacja jest zgoła inna: wszelkie próby separatyzmu zostałyby tutaj zduszone bezlitośnie w zarodku. Obecny, liberalniejszy na pozór kurs Kremla wcale bowiem nie oznacza, aby Rosja zamierzała osłabić panowanie nad tą częścią Europy. Ale jest jeszcze wzgląd inny. Titoizm może się rozwinąć tylko w kraju o silnej partii komunistycznej. W Jugosławii partia miała za sobą tradycję walki z najeźdźcą i korzystała z poparcia znacznego odłamu społeczeństwa. Jedynym krajem ujarzmionym o dużej partii komunistycznej w przeszłości, jest Czechosłowacja. Wątpić należy, aby po ostatnich doświadczeniach, zachowała tam partia naprawdę szeroki zasięg. Gdyby nawet tak było — Czechosłowacja sama nigdy się na nic nie zdobędzie. A w pozostałych krajach za żelazną kurtyną partie komunistyczne są tak słabe, że bez oparcia o Rosję nie mogłyby się utrzymać jednego dnia.

Na titoizm w krajach ujarzmionych trzeba by czekać długo, bardzo długo, może aż do czasu, gdy wszystkie obecne ideologie i konflikty straciłyby zupełnie swój sens i znaczenie. Wyobrażam sobie, jak z całego tego pomysłu śmiać się musi krwawy rosyjski chłopek-roztropek Chruszczow. Śmiałbym się i ja, gdyby to nie było zarazem tak smutne.

Choć koncepcja jest nierealna, nie trzeba całej tej sprawy lekceważyć. Gdyby się bowiem tendencja ta utrzymała, czekać by nas mogły nowe rozczarowania, zawody i trudności.

*

Po obu konferencjach genewskich widać więc wyraźnie, że polityka amerykańska znalazła się w ślepej ulicy. Koła urzędowe, które — jak wszystkie rządy na świecie — nie lubią się przyznawać do porażki, zachowują kłopotliwe milczenie. Natomiast czołowi publicyści tutejsi nie kryją się z zapatrywaniem, że nie da się na długo już odkładać gruntownego przeanalizowania od nowa dotychczasowych założeń. W jakim jednak kierunku pójść ma ta rewizja — tego nikt jeszcze dokładnie nie wie.

*

Zadaniem publicysty jest głoszenie tego, co uważa za prawdę, choćby była ona bolesna dla niego samego i mogła go narazić na niepopularność u czytelników. Świadomość tego obowiązku każe mi napisać szczerze to wszystko, co myślę o odgłosach, dochodzących tutaj ze środowiska polskiego w Anglii.

Sensem istnienia emigracji politycznej jest walka o niepodległość własnego kraju, oparta na konkretnym planie działania oraz zachowywanie wartości narodowych, narażonych w Kraju ojczystym na zniszczenie.

Bez względu na to, czy życzyliśmy sobie nowej wojny, czy nie, rachuby nasze w ostatnich dziesięciu latach opieraliśmy na konflikcie pomiędzy Wschodem i Zachodem, który olbrzymiej większości z nas wydawał się nieunikniony i bliski. Dziś rachuby te już nie istnieją. Zdawałoby się, że wysiłek główny pójdzie obecnie na opracowanie nowego planu działania i że rozwinie się ożywiona, szczera dyskusja, wolna od dotychczasowych inhibicji. Niestety, to wszystko, co się słyszy, jest nużącym powtarzaniem znanych każdemu od lat haseł i założeń bez najmniejszej próby wyzwolenia się od przebrzmiałych już szablonów. Ciągle więc mówimy o konieczności uświadamiania Zachodu, choć cierpi on raczej na zanik koncepcji i uwiąd woli, niż na brak rozeznania. I ciągle z dumą głosimy, jak to samą swoją niezłomną postawą podtrzymujemy w Kraju nadzieję i ducha oporu, choć brak widomych wyników naszej postawy zmusi po pewnym czasie Kraj do szukania własnych rozwiązań, bez oglądania się na nas. Doświadczenia z poprzednich emigracji stanowią pod tym względem wyraźne ostrzeżenie. Wielka Emigracja polistopadowa wypracowała plan odzyskania niepodległości przez powstanie ludowe. Gdy klęski kolejnych powstań dowiodły nierealności tego planu, emigracja straciła wszelkie znaczenie polityczne, choć fizycznie istniała nadal. Ożywiła się dopiero na przełomie wieków XIX i XX, gdy program niepodległościowy Polskiej Partii Socjalistycznej natchnął część społeczeństwa w Kraju nowymi nadziejami I dziś przed nami nie ma również innego wyboru: albo znaleźć nowe źródło nadziei, choćby nawet odległej, albo zejść ze sceny historycznej. Tertium non datur.

Tymczasem błąkamy się po omacku. Tak jak plemiona pierwotne podczas zaćmienia słońca głośnym zawodzeniem i strzelaniem z łuku dodają sobie odwagi i próbują odwrócić groźne zjawisko. tak my szumnymi deklaracjami próbujemy zażegnać klęskę niewoli. Z jednakowym skutkiem. Różnica jest tylko jedna: zaćmienia słońca trwają krótko i same przechodzą; niewole bywają najczęściej długie i rzadko ustają bez cierpień, potu, krwi i walki.

Andrzej Pomian

---

(1) MEMOIRS by Harry S. Truman. Vol. 1: YEAR OF DECISIONS, New York, 1955, por. str. 362 nast., str. 384 nast.

(2) Por. streszczenie w artykule G. Sokolsky'ego, „Washington Post", 6. XII. 1955, str. 15.

(3) Truman, op. cit., str. 370.

(4) Por. dwa artykuły M. Childs'a, „Washington Post", 29.XI.55, str. 12 i 30.XI.55, str. 12.

EPOPEJA PUSZCZY PISKIEJ

Zwrócono mi uwagę na powieść niemiecką, której akcja dzieje się na Mazowszu Pruskim, terytorium, które zawsze było etnograficznie polskie, a które od czasu ostatniej wojny stało się — po raz pierwszy w dziejach — bezpośrednią częścią polskiego obszaru państwowego: powieść „Die Jeromin-Kinder", której autorem jest Ernst Wiechert (Zurych, Rascher Verlag, 1947). Powieść tę przeczytałem — i uważam ją za wydarzenie kulturalne tej miary, że nie może ono przeminąć bez echa też i w środowisku polskim.

Rzecz dzieje się w Puszczy Piskiej. (Przed wojną mówiło się: Puszcza Jańsborska. Obecnie jednak przywrócono miasteczku powiatowemu Jańsborkowi, położonemu nad wpadającą do Narwi rzeczką Pissą, jego średniowieczną nazwę Pisz). Puszcza ta przylega bezpośrednio do Puszczy Kurpiowskiej; Myszyniec jest w kierunku południowym miasteczkiem najbliżej terenu akcji powieści położonym. Była ona ongiś najbardziej zapadłym zakątkiem Rzeszy Niemieckiej. Bardziej zapadłym, w pojęciu niemieckim, niż dla nas Polesie. Nic dziwnego! Był to dla Niemiec kraniec świata; kraniec, poza którym nie było już — nic. Ani połączeń kolejowych, ani drogi wodnej, ani dobrych szos, ani handlu, ani godnego wzmianki ruchu granicznego. Takim samym krańcem świata była dla nas Puszcza Kurpiowska: Kolno i Myszyniec to nie były etapy po drodze do Piszu, Lecu, Wystrucia i Królewca, ale to były ostatnie punkty drogi zamkniętej. Od zarania dziejów, od czasów utworzenia państwa krzyżackiego, dwa kraje: Polska i Prusy Krzyżackie, Książęce, czy Wschodnie odwróciły się do siebie plecami, odgrodziły się od siebie żelazną kurtyną wrogości, wzajemnej nieznajomości i braku wszelkich stosunków.

Rzecz się rozgrywa w głuchej, położonej nad wielkim jeziorem, wiosce leśnej Sowiróg („Sowirog" znaczy „Eulenwinckel", objaśnia Wiechert). Wśród bohaterów powieści przewijają się takie nazwiska jak Piontek, Gonschor, Gollimbeck („Gollimbeck", czytaj „gołąbek", znaczy „das Täubchen". Gdy nauczyciel tego nazwiska nastał w miejscowej szkole, dzieci przyjęły go w klasie gruchaniem, żartując w ten sposób z jego nazwiska). Tylko rodzina, będąca główną bohaterką epopei, zdaje się pochodzić z Litwy Pruskiej i nosi nazwisko litewskie: Jeromin.

Autor starannie zresztą unika podkreślania jakichkolwiek związków swej ziemi rodzinnej z polskością. Słowa „polski", a nawet „mazurski" nie są w całej książce wymienione ani razu. Ani razu nie dowiadujemy się, w jakiej to mowie — znanej miejscowym ludziom mówi się „gołąbek", a nie Täubchen", a „sowi róg" na „Eulenwinckel". Autor wyraźnie umyślnie zaciera akcenty polskie: gdy sympatyczny zresztą złodziejaszek i kłusownik, cygańska natura, Gogun, po pijanemu śpiewa, to śpiewa nie po polsku, ale po rosyjsku: „Zigánuschka, Zigánuschka, Zigánuschka moija..." Nie jest to wprawdzie niemożliwe: w owych czasach była w Myszyńcu rosyjska straż graniczna i Gogun, pewnie nie obcy przemytowi, mógł się od niej rosyjskiej piosenki nauczyć; ale jest to raczej nieprawdopodobne. Autor nigdy wyraźnie nie pisze, że mieszkańcy Sowiego Rogu mówią codzień jakąś swoją własną, obcą mową i niezorientowany czytelnik zgoła się nie domyśli, że potocznym językiem tej wsi nie jest język niemiecki.

Nawet umiejscowienie geograficzne powieści jest zadziwiająco powściągliwe. Jedyną wymienioną w książce nazwą geograficzną jest Sowiróg. O Piszu autor pisze „stolica powiatu", o Królewcu „stolica prowincji", o Berlinie „stolica Rzeszy", o Kownie, w którym w roku 1918 jeden z Jerominów leczy się po odniesionej ranie — „miasto dzwonów kościelnych, nad wielką rzeką, której ujście jest w naszej prowincji", o Verdun — „miasto, wokół którego toczy się bitwa". Mimo to, tło geograficzne jest autentyczne i nadzwyczaj ścisłe.

Wieś Sowiróg rzeczywiście istnieje. Znam ją osobiście. Jako młody attaché konsularny w Olsztynie, przed laty, dużo jeździłem po Mazowszu Pruskim i kiedyś byłem w tej wsi, zajechawszy do niej kajakiem po jeziorze. Opis w książce zgadza się z tym, co pamiętam; aż do takich szczegółów jak płynący z oddali ryk syren parowców, kursujących po innym, wielkim jeziorze za lasami (Śniardwach). Przypuszczam, że autor musi pochodzić z Sowiego Rogu i że powieść jest autobiograficzna. Młody Jons Jeromin — to pewnie jest w ogólnym zrębie sam autor. Jego nazwisko brzmiące sztucznie, przypuszczam, musi po prostu być zewnętrznie zniemczoną postacią nazwiska Wicher. Pamiętam zresztą, że się z tym nazwiskiem spotykałem. Za moich czasów Ernst Wiechert znany był jako niemiecki dziennikarz i literat z Mazowsza Pruskiego, pisujący ładne felietony i obrazki o swoich rodzinnych jeziorach i lasach. Nie zapowiadał się jednak jako talent powieściowy.

Tymczasem jego „Jeromin-Kinder" — to jest wielka powieść, dzieło talentu dużej miary. Jest to prawdziwa epopeja Mazowsza Pruskiego jako dzielnicy, związanej z Niemcami i uczestniczącej w życiu niemieckim.

Nieraz już zwracano uwagę na fakt uderzający, że „niemiecki wschód" zgoła nie wycisnął piętna na niemieckiej literaturze. Polska literatura, polska kultura, są nie do pomyślenia bez „Pana Tadeusza", „Beniowskiego", „Marii", „Zamku Kaniowskiego", „Trylogii", „Nad Niemnem", „Sobola i Panny", „Dewajtisa", „Pożogi", bez Moniuszki, bez Brandta, Kossaka, Grottgera, bez tego wszystkiego, co reprezentuje polski „wschód". Polska nie ogranicza się do tego, co jest nad Wisłą i Odrą: ziemie nad Niemnem, Dniestrem, Prypecią, ba! nawet nad Berezyną, Bohem, Dnieprem stanowią organiczny składnik jej życia. Natomiast widnokrąg kulturalny niemiecki w gruncie rzeczy wschodu nie obejmuje. Wschód ten dawał Niemcom mężów stanu w rodzaju Bismarcka, ale poza Kantem nie dał prawie nikogo na polu kultury. A już zgoła nikogo — na polu twórczości literackiej.

PISMA POETYCKIE

ADAMA MICKIEWICZA

w 1-ym WIELKIM TOMIE WYDANYM

W setną rocznicę zgonu poety

zawierają niemal wszystkie jego utwory

z wyjątkiem „Pana Tadeusza".

PIĘKNA OPRAWA — **PONAD 800 STRON DRUKU**
W SUBSKRYPCJI „BIBLIOTEKI POLSKIEJ"
przez grudzień 1955 i styczeń 1956 roku.

CENA: dla stałych Abonentów — szylingów 15/- (dol. 2.50),
dla Subskrybentów dorywczych — 21/- (dol. 3.25).

Wiele lat życia i wiele wysiłków poświęciłem udziałowi w walce o polskość Mazowsza Pruskiego i o jego przyłączenie do Polski. Ale mam dość poczucia sprawiedliwości, by przyznać, że związki tego Mazowsza z Prusami trwają 700 lat i że zamieniły się w nic, która jest czymś o wiele mocniejszym, niż tylko zależnością, wynikającą z zaboru. Zaboru zresztą tu przecież nie było: Krzyżacy zdobyli Mazury nie na Polsce, lecz na pogańskich Prusakach i zasiedlili je osadnikami z sąsiedniego Mazowsza. Nie ma wątpliwości, że duża część ludności Mazowsza Pruskiego była do ostatnich czasów rzeczywiście przywiązana jeśli nie do Niemiec to do Prus i czuła się raczej „Prusakami polskiej mowy", niż Polakami. I że Mazowsze Pruskie było dla Prus czymś takim, jak Polesie dla Polski: krajem obcojęzycznym, lecz od wieków wchłoniętym i uczuciowo bliskim.

Dzisiaj — ziemia ta należy do Polski. Czasy Mazowsza „Pruskiego" i „Prusaków polskiej mowy" skończyły się bezpowrotnie. Nawet gdyby wyobrazić sobie ewentualność najgorszą i mało prawdopodobną, że Niemcy tak znowu wyrosną, iż doprowadzą do nowego rozbioru Polski i rządy ich wrócą do Puszczy Piskiej, nie ma mowy, by odrodziło się życie mazurskie w ramach Prus czy Niemiec: może w Sowim Rogu zwyciężyć po prostu niemczyzna, ale nie odrodzi się w nim mazurszczyzna „pruska". A jeśli tam nie zwycięży niemczyzna — Mazury pozostaną nadal częścią Polski i polskości. Mazowsze, zwykłe polskie Mazowsze, przedłużyło się dziś od Warszawy i Myszyńca aż po morze, Puszcza Piska zalana jest napływem ludnościowym polsko-katolickim z głębi Polski, a tubylcy, ewangeliccy Mazurzy, wśród których zawsze istniał odłam pro-polski, stopniowo zamieniają się całą swoją masą w zwykłych ewangelików polskich, takich samych jak w Cieszynie, czy w Łodzi.

Pomnik, jaki Wiechert wystawił społeczności, do której należał, jest pomnikiem pogrzebowym. Niech mi wolno będzie, jako wrogowi, który walczył z ideą, drogą Wiechertowi, a bodaj że nawet — piórem i z samym Wiechertem, zdjąć przed jego dziełem kapelusz, w tym samym mniej więcej nastroju, w jakim zwycięski okręt salutuje idącemu na dno okrętowi nieprzyjacielskiemu.

Dopiero teraz Wiechert to zmienia. Powieść jego jest pierwszą w literaturze niemieckiej, wielką powieścią „wschodnią".

Jest to powieść wysokiej klasy. Jej wartość literacka jest wybitna z każdego punktu widzenia.

Jest to przede wszystkim przepiękne dzieło poezji prozą. Jako wizja puszczy i żyjącego w niej ludu jest ona poetycko niezrównana. Opisy przyrody, uczucia ludzkie, nastroje, tęsknoty, marzenia są w niej podane w sposób pełny niewypowiedzianego uroku. Nawet „Puszcza" Weyssenhoffa nie jest tak przeplatana zapachem lasu, zapachem wody jeziornej, zapachem dymów z pieców, w których się wypala węgiel drzewny. Wiele obrazów, wiele wizji poetyckich tej książki jest po prostu nie do zapomnienia. Cóż to za przejmujący opis: wiejski, samorodny grajek, przeczuwając zbliżającą się śmierć, spędza pogodną, letnią noc księżycową na wyspie jeziornej obok wsi i cały czas gra na fujarce jakieś przejmujące melodie, trzymając w hypnotycznym napięciu całą nadjeziorną ludność, tak, że do rana nikt spośród niej nie śpi, wszyscy urzeczeni są tym graniem i boją się go zarazem i cierpią wskutek niego, i przeczuwają, że jest ono zwiastunem nieszczęścia! Takich wizji, w których obraz miesza się z muzyką, z zapachem i z jakąś nieuchwytną nicią pozazmysłową odczuć i nastrojów jest w powieści więcej. Wrażliwość poetycka Wiecherta, jego utajony, podskórny smutek, jego zasłuchanie w wątki pozazmysłowe, a zwłaszcza w przeczucia nieszczęść i śmierci, jego odczucie piękna w tym przede wszystkim, co jest milczące i skupione w ciszy: piękna nocy księżycowych, perlących się rosą przedświtów, wieczorów w lesie, żarzącego się ognia — nie wydają się ani niemieckie, ani polskie. Brzmi w nich coś, co przypomina raczej Kalewalę, a więc jest jakby fińskie. A może to odzywa się w Wiechercie zapomniana, na pozór umarła krew pogańskich Prusaków?

Jest to dalej przepyszna galeria typów. Od czołowych postaci do figurek epizodycznych — wszystko to są świetne, soczyste portrety żywych ludzi. Stary patriarcha wiejski, dziadek Jeromin, pamiętający ponoć jeszcze odwrót wojsk Napoleona spod Moskwy, mający w sobie coś z biblijnego proroka. Jego syn, ojciec młodych Jerominów, smolarz, wypalający w lesie węgiel drzewny, rozczytany w Biblii, zacny, dobry i pobożny, prawie święty. Jego żona, dumna Litwinka, która popełniła mezalians, królowa, nie raczący uczestniczyć w życiu wsi, a nawet rodziny, w której ją los umieścił. Pastor, który przestał wierzyć w Boga. Śliczna postać starego wiejskiego nauczyciela, który całe życie oszczędzał, by umożliwić studia najzdolniejszemu ze swoich uczniów. Złodziejaszek i pijak Gogun, pogodny i wesoły i żyjący z Bogiem w zgodzie — a potem nagle mający uczucie, że go Bóg opuścił i kończący śmiercią samobójczą. Wspaniały okaz pruskiego magnata, dziedzic i oficer o krzyżackim nazwisku von Balk, przypominający zarówno arystokrację, generalicję i biurokrację pruską naszych czasów, jak dygnitarzy krzyżackich, cynik nie wierzący w nic, zimny, dumny, wyniosły, ironiczny, nazywany jastrzębiem nie tylko z powodu ptasiego profilu, ale także i dlatego, że wszystkie okoliczne wsie muszą chronić przed jego spojrzeniem swe dziewczęce pisklęta — a przy tym wszystkim zadziwiająco pełny poczucia obowiązku i honoru, mądry, mocny, i nie pozbawiony zdolności i chęci zadawania się z chłopami na stopie przyjacielskiej równości. Jego papuga, mówiąca: „Otto, sei doch nicht komisch", „sie Idiot" i „Treudeutsch aliewege!". Stare panny w Królewcu, u których młody Jeromin przebywa na stancji. Jego siostra, dziewczyna olśniewającej urody, zamknięta w sobie, nieprzystępna, ambitna, zostająca najpierw posługaczką, a potem pokojówką u baronowej-majorowej w Piszu, ucząca się dobrych manier, czytająca wszystko, co w domu swoich pracodawców może znaleźć aż do Militärwochenblatt" włącznie, odkładająca grosz do grosza, wymieniająca na pieniądze nawet otrzymaną w prezencie czekoladę, a potem wyjeżdżająca do Berlina, sprzedająca się przelotnie bogatemu Amerykaninowi, a wreszcie osiągająca swój cel: wychodząca za mąż za hrabiego. Typy żołnierskie, a wśród nich przepyszny typ poległego na zachodnim froncie kaprala, berlińskiego robociarza, mówiącego mową, stanowiącą berliński odpowiednik warszawskiego Wiecha. Wszystko to są postacie, o których czytelnik nie zapomni.

Książka jest wreszcie obrazem środowiska. Dzięki niej dowiadujemy się co to były Mazury Pruskie, jakie były ich uczucia i myśli, jakie dokonywały się w ich życiu przemiany, jak w początkach bieżącego stulecia plotły się ich dzieje. Poznajemy ich powszednie życie, ich pracę na roli, ich roboty leśne, ich rybołowstwo jeziorne, ich protestanckie życie parafialne, ich dramaty: wcale nie rzadkie zabójstwa, miłość, zawiść, ich etykę, dość luźną na punkcie poszanowania cudzej własności (drzewo kradzione na budowę kościoła, węgiel kradziony przez studenta w Królewcu). Dowiadujemy się jak ich życie splatało się z życiem Prus i Niemiec, jak ich młodzież emigrowała do Berlina, albo studiowała w Królewcu, jak przez wyrastanie z ich środowiska warstwy pastorów, nauczycieli ludowych, listonoszów, policjantów, rodziły się nici, łączące ich wiejską masę ze społeczeństwem niemieckim. Poznajemy przebieg wydarzeń wojennych w okresie inwazji rosyjskiej na Mazowszu Pruskim w roku 1914.

Pod jednym tylko względem obraz, namalowany przez Wiecherta jest niekompletny: nie ma w nim obrazu stosunków narodowych. Wiechert jest w tym punkcie dziwnie niemy: czyżby przemawiała przez niego bojaźń, przemawiała chęć niezdradzenia się, że Mazury to był kraj etnicznie polski? Ale w rezultacie — tak ważna dziedzina życia opisywanej dzielnicy została pominięta, iż obraz stał się po prostu kłamliwy.

Rzecz ciekawa: polscy pisarze, opisujący Ruś czy Litwę, nie tają, że lud ich mówi obcą mową. Ileż słów, ileż zdań całych po litewsku czy rusku znaleźć możemy u Sienkiewicza, u Weyssenhoffa, u Rodziewiczówny! Jest w tym poczucie dziwnej pewności siebie i swych praw, dziwnie mocnej świadomości, że jesteśmy na ziemiach ruskich i litewskich u siebie i że te ziemie mają ze wszystkim, co do nich należy, określone miejsce w naszym życiu. U Wiecherta tego nie ma. Wiechert boi się przyznać, że Sowi Róg mówi — po polsku. Jest w tym, mimo wszystko, poczucie chwiejności gruntu pod nogami: widać to fakt nie pozbawiony znaczenia, skoro go trzeba zatajać.

Sowi Róg i cała Puszcza Piska i całe w ogóle, obejmujące siedem powiatów Mazury mówiły powszechnie po polsku jeszcze w roku 1932, gdy ostatni raz tam byłem, musiały więc tym bardziej mówić po polsku w roku 1914 i wcześniej. To prawda, że proces germanizacji dziatwy zataczał już szerokie kręgi: z wyjątkiem najbardziej zapadłych wiosek, dzieci w wieku szkolnym rozmawiały już między sobą po niemiecku, choć z rodzicami mówiły po polsku. Ileż razy, pamiętam, zatrzymywałem się wraz z żoną kajakiem u brzegów rzeczek i jezior — i opadała nas gromada wiejskiej dzieciarni, szczebiocząca po niemiecku, a potem nagle, słysząc, że rozmawiamy po polsku, przechodząca na soczystą, mazurską polszczyznę! Pamiętam nawet raz, we wsi Kurwie, całkiem blisko Sowiego Rogu, w roku 1931, rozmowę umundurowanych hitlerowców na tematy polityczne, jaką przypadkowo podsłuchałem w oberży, prowadzoną — po polsku! — Jest rzeczą jasną, że w rodzinie Jerominów rozmawiano przed rokiem 1914 po polsku. Że bajki, jakie starsza siostra Maria opowiadała małemu Jonsowi i jego braciszkowi, kalece Chrystianowi, to były bajki polskie. I że biblia, którą czytywał przy swoim piecu do wypalania węgla drzewnego ojciec Jonsa, to była stara biblia protestancka polska, drukowana szwabachą, ułożona nie w dialekcie mazurskim, lecz w staroświeckiej, literackiej polszczyźnie.

Jeśli Wiechert to wszystko zataja — to znaczy, że nie mówi pełnej prawdy i daje obraz wypaczony. Dzieło jego jest wskutek tego sfałszowane jako dokument regionalny, — a także i artystycznie dźwięczy w nim przez to nuta fałszywa.

A szkoda. Powieściopisarz nie ma obowiązku pisać w s z y s t k i e g o; wybiera on te aspekty znanego sobie życia, które opisać pragnie i nie można mu mieć za złe, że coś pominął milczeniem. Jeśli na przykład pominął milczeniem przewijający się na Mazurach pod powierzchnią nurt świadomie polski, nut świadomości, że wspólność języka jest równie mocnym węzłem jak wspólność religii, czy historii — to miał prawo to zrobić: ruch propolski był tylko jednym z prądów, istniejących w masie ludowej mazurskiej i bynajmniej nie prądem najsilniejszym, toteż nie był on elementem w obrazie mazurskiej wioski, czy rodziny nieodzownym i Wiechert mógł go nie pokazać. Ale język jest czymś zupełnie innym: jest to fakt, o znaczeniu tak powszechnym, że pominięcie go jest już fałszującą obraz tendencją. Wiechert mógł dać obraz procesu germanizacji: mógł pokazać, jak się odbywa porzucanie mowy polskiej przez młodsze pokolenie, jak się odbywa zrastanie się ludu mazurskiego z niemczyzną, jak się manifestuje związek Mazowsza Pruskiego z Prusami wbrew mowie ojczystej. Ale traktować pierwiastek etnicznej polskości Mazowsza per non est — to już nie jest pokazywanie jednego tylko aspektu rzeczywistości, ale tchórzliwe przeinaczanie tej rzeczywistości.

Nie znaczy to zresztą, by Wiechert był szowinistą niemczyzny. Przeciwnie! Cała powieść przesycona jest ideologią, na którą posiadamy w naszym języku wyśmienite określenie: tutejszość. Tak jakbym słyszał Poleszuka! Wiechert ciągle powtarza, że furda sprawy szerokiego świata, że najważniejsza rzecz to spełniać uczciwie swoje obowiązki w zasięgu swoich „trzydziestu morgów". (Morga magdeburska równa się ćwierci hektara, jest o połowę mniejsza od tak zwanej morgi polskiej). O cesarzu i królu, o landratach (starostach), o pruskiej biurokracji, o władzach kościoła protestanckiego mówi z nieukrywaną niechęcią. Wojnę uważa za dopust Boży, jak pożar, albo gradobicie; nie zależy mu na zwycięstwie, zgoła nie mówi o tym, o co w tej wojnie chodzi, stwierdza tylko, że w takiej wojnie cierpią przede wszystkim prości ludzie i małe wioski. Na pytanie, czy Wiechert jest patriotą niemieckim, po wahaniu i zastanowianiu odpowiadam, że chyba nie. Jest to przede wszystkim patriota powiatowy. Albo jeszcze coś innego: patriota wioskowy. Partykularyzm jest wprawdzie ogólnym rysem duszy niemieckiej. Ale tutaj, to jest coś więcej, niż partykularyzm. To jest tutejszość.

Przechodzę do sprawy, którą sobie zostawiłem na koniec, a szczególnie ważnej: do sprawy religii.

Mazury Pruskie zostały w chwili sekularyzacji Prus przymusowo nawrócone na luteranizm. Tak dobra powieść o życiu i doli mazurskiej wsi w dwudziestym stuleciu, napisana przez człowieka, który z tej wsi pochodzi, jest z natury rzeczy bardzo interesującym kluczem do duszy protestanckiej, przynajmniej w jej pruskiej odmianie.

Średniowieczna, surowa jeszcze, ale szczerze nawrócona Polska katolicka wysłała rzeszę swoich osadników-wychodźców pod panowanie krzyżackie, na pruskie pustkowia. Co krzyżacy z nich pod względem religijnym zrobili? — Zrobili z nich luteranów. A co się z tych luteranów w ciągu następnych 400 lat zrobiło?

Pierwiastek religijny zajmuje w książce Wiecherta bardzo dużo miejsca. Wiechert ciągle mówi o Bogu. Mówi także o wierze, moralności i kościele.

Jego poglądy religijne są na pewno przede wszystkim jego poglądami osobistymi. Poglądy innych chłopów mazurskich — i innych pruskich luteranów — mogą być inne. Ale oddech jego rozważań religijnych jest zbyt szeroki, by nie był on echem sposobu myślenia jakiegoś bardzo szerokiego ogółu. Przy tym — z poglądami takimi spotykamy się nie po raz pierwszy. Gdy przykładam te poglądy i całą ukrytą pod nimi psychologię do którejkolwiek ze znanych mi postaci żywych Prusaków — pasują one jak ulał.

Wiechert nie wierzy w doktryny kościoła luterańskiego. Do gadaniny pastorów odnosi się z wyniosłą, drwiącą pogardą.

Uwaga nawiasowa: gdy mówi o pastorach, widzi ich jedyne zadanie (źle spełniane) — w gadaniu, w przynoszeniu „słowa pociechy". Jakże inna jest rola katolickiego księdza! Może on być bardzo nieumiejętnym kaznodzieją. A jednak — jako kapłan, odprawiający Mszę św. i jako szafarz sakramentów, a zwłaszcza szafarz rozgrzeszenia, jest on zawsze na swoim miejscu; i zawsze ma władzę nadprzyrodzoną. Natomiast pastor luterański, o ile nie umie znaleźć właściwego słowa pociechy, jest figurą bez znaczenia.

Czy Wiechert wierzy w Boga? Ciągle mówi o Bogu — i mówi wręcz z nienawiścią. Zarzuca Mu — brak sprawiedliwości. Gdyby taką książkę napisał katolik, byłaby ona z pewnością umieszczona na indeksie.

Trudno nienawidzieć coś, w czego istnienie się nie wierzy. Nienawidzą Boga przede wszystkim ci, co się z Nim wadzą — po to, by w końcu upaść przed Nim w pokorze na twarz. A jednak, myślę, że Wiechert do tych ludzi nie należy. Nie wierzy w Boga chrześcijańskiego. Jego pojęcia o Bogu są zupełnie panteistyczne.

Jego teologia i jego etyka wyłożone są w powieści z wielką precyzją. Brzmi to mniej więcej tak.

Nic nie wiemy o Bogu, nic nie wiemy o zagadkach bytu. Rozum nasz nie jest do przeniknięcia tych zagadek zdatny. Pogódźmy się więc z tym, że wobec tych zagadek jesteśmy bezsilni. Ale za to róbmy to, co do nas należy na naszych „trzydziestu morgach"; bądźmy uczciwymi, dobrymi i sprawiedliwymi ludźmi w wąskim widnokręgu naszego powszedniego życia. Bądźmy — wysiłkiem woli.

Ależ to Emanuel Kant! Pierwsza połowa rozumowania — to „Kritik der reinen Vernunft". Druga — to „Kritik der praktischen Vernunft".

Na pozór — trzyma się to kupy. Ale

(Dokończenie na str. 3)

LITERATURA ANGIELSKA

KSIĄŻKA O ANGIELSKIEJ POWIEŚCI*)

Żadna książka nie wydała mi się od dawna tak dobrze napisana, jak „Angielska powieść" Waltera Allen'a i nie sprawiła mi tyle przyjemności w czytaniu. Autor ujął mnie już w pierwszych zdaniach przedmowy. „Dla mnie od czasów szkolnych — pisze — najzywszym zainteresowaniem w życiu było czytanie powieści, omawianie ich z przyjaciółmi, pisanie o powieściach, próba pisania ich samemu, — i te wszystkie czynności splatały się w moim umyśle w jedno." Parę stronic dalej dodaje, „że każdy powieściopisarz rozczytuje się w twórczości innych powieściopisarzy". W książce o 389 stronach Allen daje nam wszechstronny i analityczny przegląd rozwoju tej sztuki pisarskiej w Anglii, od jej początków, gdzieś w połowie XVII wieku, aż prawie do dnia dzisiejszego. Wzory swoje poddaje różnorodnym oświetleniom mody, obyczajów, usposobienia i powołania samych autorow, a przy sposobności wykazuje dużą znajomość literatury francuskiej i rosyjskiej.

Powieść jest tworem wyobraźni tak rozmaitym, że trudno prawie ustalić jej zasadnicze cechy, procz tej, o której mowi Goethe: „die Lust zu fabulieren". Poza tym główna wartość powieści zależy od stworzonych w niej postaci, czyli charakterow, wzajemnego ich do życia i siebie stosunku i siły namiętności, jaką pisarz tchnie w urojone osoby. Ów stosunek moralny do świata i ludzi będzie jednym z probierzy analitycznych Waltera Allen'a, lecz dodac trzeba, że nie ma on nic wspólnego z tak rozpowszechnionym wśród Polaków moralizatorstwem i tendencyjnością, choć i te skłonności ludzkiego umysłu są w jego książce uwzględnione.

Równie ważkie, jeśli chodzi o doskonałość utworu są ograniczenia każdego pisarza, jego cele i sposób jego artystycznej wypowiedzi, czyli styl. Zacznijmy dla przykładu od **Jane Austin,** wybitnej moralistki, ktora cały stworzony przez siebie światek poddawała pewnym prawom wychowania i konwenansow, oraz zasadzie, że należy być uczciwym i szczerym w postępowaniu, a w szczególności w pobudkach do niego prowadzących. Pisała ona powieści w najczystszym znaczeniu, uwaga jej ograniczała się do ludzkich istot i komedii towarzyskich pomyłek. Inna autorka, urodzona romantyczka, **Charlotte Brontë** miała jej za złe „tę chińską dokładność i miniaturową delikatność, ale właśnie ta saska porcelana okazała się trwalsza i lepsza w swoim rodzaju od niejednego romantycznego zamku.

Anthony Trollope pisał źle. Język jego był tak pospolity i ubogi, że ożywiał go dopiero przebieg fabuły. Kompozycji nie miał żadnej, akcja rozwijała się od rozdziału do rozdziału, ale stworzył tłum postaci na tle wielkiego środowiska i na swój sposób zasłużył na tytuł Balzaca drugiej klasy. Zaliczał się do rzędu ludzi o rzadkim doświadczeniu życiowym, był wysokim urzędnikiem, nie stronił od przyjemności, jak polowania konne, karty, dobra kuchnia, wydawał miesięcznik, wybił się jako fachowy pisarz i nawet kandydował do Izby Gmin. Pisywał dla pieniędzy, ale w miarę jak rozwijała się jego kariera, jego „opanowanie rzeczywistości stawało się coraz silniejsze i dokładniejsze". I dlatego, pod pewnym względem, Walter Allen stawia go wyżej od Thakeray'a.

Każdy z czytelników Allen'a znajdzie w jego książce autora swego wyboru, oswietlonego rozmaicie zestawieniem wpływow i porównań. W krotkiej recenzji trudno uwzględnic wszystkich, choćby najsławniejszych, jak **Emily Bronte** i **„Wuthering Heights"**.

Do Polski, przed wojną, docnodziły chwilowe sławy i mody, jak Oscar Wilde i Galwortny. Mało kto znał **Henry James.** Przed Proustem to może najniezwyklejszy z pisarzy. Swoje powołanie uważał on jako „święte", a jeśli chodzi o rzetelnosc w stosunku do tematu, to nie wahał się powieści stawiac na równi z historią. Allen poświęca ciekawe ustępy jego technice artystycznej, jego dążeniu, „aby osiągnąc jak największe napięcie dramatyczne", jego rozmiłowaniu się w dokładnosci i barwnosci słowa. Chęc oddania tego, co już prawie nieuchwytne, wpędziła w końcu James'a w tę samą zawiłość językową, co Prousta. Z podobną delikatnością odcieni przedstawia on swoich bohaterow. Henry James urodził się w Stanach Zjednoczonych i pochodził z wybitnej rodziny, skoro był bratem filozofa Williama. Rozpoczął wczesne wędrowki po Europie, przylgnął do Anglii, stał się bywalcem towarzyskim, co wieczor zapraszanym, ale te obiady służyły mu do zbierania wzorow i często koło drobnej anegdoty budował całą opowieść.

„Pod wielu względami — pisze Allen — prawdziwym spadkobiercą James'a był **Józef Conrad**..." „Z urodzenia polski szlachcic (zamiast arystokrata z angielskiego tekstu) od dziecinstwa znał język francuski, a po angielsku zaczął się uczyć dopiero mając 23 lata." — „Że nauczył się naszego języka w tym celu, aby zostac mistrzem naszej prozy, dającym się jedynie porównać w szczęśliwym doborze słow i porywie mowy z De Quincey i Ruskinem, pozostanie jednym z najdziwniejszych osiągnięć zapamiętanych w historii literatury." Na następnych paru stronicach znajdujemy może najlepsze studium o Conradzie, dużo o jego sposobie przedstawiania opowieści, ujętej jak w ramę, przez wysunięcie na plan pierwszy osoby opowiadającego; wiele o jego spojrzeniu na świat, pojęciu wierności, ale i siły złego w przyrodzie i w każdej duszy ludzkiej. Miał i swoje słabości, wedle jego wybrednych krytyków, w mniej udanych utworach wpadał w romantyczność i melodramat człowieka zawsze genialnego, ale ulegającego „pustce frazesu".

„Pomimo tego — pisze Allen — lepsze jego dzieła przedstawiają osiągnięcia niedorównane w powiesci angielskiej przez żadnego pisarza, z wyjątkiem James'a." Co dziwniejsze, **Wells, Bennet,** nawet **Trollope** wydają się dziś przestarzali, a „świat opisany przez Conrada, moralne dylematy jego bohaterów, są te same, które znamy, wydaje się nam, że doszły dopiero do głosu w 1940 roku." — A zaraz potem na tej samej stronie 296: „Z powieści, „Nostromo" jest bezsprzecznie najlepsza. Z łatwością dałoby się obronić zdanie, że to najlepsza powieść angielska tego wieku".

W jednym ze swoich listów Flaubert wyraził nadzieję, że prozie swojej nada rytm wiersza i tym samym zwykłemu życiu wartość epiczną. „Poezja — pisał Coleridge — wywołuje większe wzruszenie i wymaga, aby zwracano większą uwagę na słowa, niż proza."

W połowie XIX w. jeden Dickens geniuszem swoim osiągnął dar magiczny przetwarzania rzeczywistości, ale mistrzem poetyckiego natchnienia jeszcze bardziej pozostanie Józef Conrad.

J. A. Z.

*) THE ENGLISH NOVEL by Walter Allen. Phoenix House Ltd., London.

OKAZJA!
Henryk Sienkiewicz
Stron 512. CENA 16/-
QUO VADIS
Katolicki Ośrodek Wydawniczy
VERITAS
12 Praed Mews, London, W. 2.

PUSZCZA PISKA

(Dokończenie ze str. 2)

jak się temu przypatrzyć — nasuwa się pytanie: po co być sprawiedliwym na trzydziestu morgach, jeśli nie wiadomo, czy istnieje sprawiedliwość jako prawda niezmienna i ogólna? I jakie tu pole do moralnej schizofrenii: można być złotym sercem na swoich trzydziestu morgach, kochać swoją żonę i dzieci, kochać muzykę, kochać kwiatki i ptaszki, a zamieniać się w bestię bez czci i sumienia, gdy się jest narzędziem państwa, lub jego sternikiem. Przecież znamy tę mentalność tak dobrze!

Czy to się wywodzi z Kanta? — Mimo woli dźwięczą nam w uszach echa dużo od Kanta starsze. A może to Kant wziął się — z tego? Ubrał w żelazny kształ logicznego myślenia to, co było duszą i geniuszem tego kraju?

Mimo woli — stają nam przed oczyma zakute w żelazo sylwetki rycerzy, okrytych białymi płaszczami z wielkim czarnym krzyżem, przybyłych w te strony z Bliskiego Wschodu, lub z fryderycjańskiej, hohenstauffowskiej Sycylii. Zimnych, wyniosłych, niezłomnie posłusznych swoim obowiązkom i swojemu honorowi, stanowiących wzór cnoty urzędniczej i żołnierskiej — a zdolnych do popełnienia każdej zbrodni w imię racji stanu. Powołujących się na Boga — a nie mających Boga w sercu i zapewne w Boga chrześcijańskiego nie wierzących. Krzyżaków.

Zbudowali oni gmach, imponujący swym surowym ładem — a przerażający pustką.

I duszę swoją wlali też i w naszych braci, w oderwaną gałązkę naszego narodu: w Mazurów.

Jędrzej Giertych

Scena z „Opowieści zimowej"

TEATR ANGIELSKI

NOWY SEZON OLD VIC

Jak zwykle, we wrześniu zaczął się sezon Old Vic. z nowym zespołem aktorów, z nowymi nadziejami. Trzeci rok z rzędu kontynuuje się wystawianie wszystkich sztuk Szekspira. Cała operacja obliczona jest na lat pięć.

Do trzynastu sztuk wystawionych w ciągu dwóch lat poprzednich (i omówionych w ŻYCIU) dojdzie w tym roku sześć dalszych. Sezon zaczęto wedle ustalonego zwyczaju jedną z wielkich tragedii. Dwa lata temu był to **Hamlet**(1), w zeszłym roku **Makbet**(2), w tym roku **Juliusz Cezar.** Już po tej pierwszej inscenizacji można się było zorientować, że dość przeciętny ostatnio poziom Old Vic nie ulegnie w tym roku poprawie. Winić o to należy niezbyt fortunny dobór nowych aktorów i zbyt mały dopływ świeżych sił reżyserskich i scenograficznych.

„JULIUSZ CEZAR"

Linia ewolucji w twórczości dramatycznej Szekspira prowadziła od sztuk, których akcja zasadzała się na zewnętrznych wydarzeniach, na przypadku, i w których sama akcja była czynnikiem dominującym, do sztuk, w których elementem podstawowym był charakter, a akcję kształtował konflikt

Brutus odwraca gniewnie głowę od Kasjusza
(Richard Wordsworth i Paul Rogers)

charakterów. Widać tę tendencję w komedii, gdzie od czysto mechanicznych fars pierwszego okresu poeta przechodzi później do komedii charakterów i problemów. Przede wszystkim jednak tendencja ta uwidacznia się w poważnym dramacie. W pierwszym okresie Szekspir operuje prawie wyłącznie sztukę historyczną. Koncepcja tych sztuk, zaczerpniętych z dziejów Anglii, pogłębia się z czasem. (Jest wielka różnica między epizodycznym **Henrykiem VI,** a np. tragicznym w swej koncepcji **Ryszardem II**(3). W końcu porzuca Szekspir angielską sztukę historyczną zupełnie. Następuje tzw. okres wielkich tragedii (1600-6), zaczęty **Hamletem,** zamknięty **Koriolanem.**(4) Szekspir napisał był co prawda jedną tragedię wcześniej, mianowicie **Romeo i Julię** (1596). Sztuka ta tym właśnie się różni od tragedii późniejszych, że jej koncepcja jest komediowa u podstaw, a katastrofa zasadza się na przypadku raczej niż na charakterze.

Julius Caesar (1599) stanowi przejście od sztuki historycznej do tragedii. Temat zaczerpnął autor (opierając się na Plutarchu) z historii rzymskiej, do której później sięgnie jeszcze dwukrotnie w tragediach **Antoniusz i Kleopatra** oraz **Koriolanus.** Język jest bogatszy niż w sztukach historycznych. Koncepcja już jest w pełni tragiczna i zasadza się na konflikcie charakterów i światopoglądów. Szekspir uniknął epizodyczności i konsekwentnie przeprowadził podstawowy temat, którym jest walka spiskowców z tyranem. Szekspir zwykle tytułuje swoje tragedie od imienia głównego bohatera. A przecież Cezar ginie w pierwszej połowie sztuki i nawet przedtem jego rola w sztuce (czysto teatralnie rzecz biorąc) jest uboczna. Nie mniej jednak tytuł jest słuszny. Nie chodzi tu bowiem o samego Cezara, ale o ideę cezarianizmu, z którą na próżno spiskowcy do samego końca walczą. Cóż z tego, że Cezar zabity, jeśli — jak mówi Brutus — jego „duch chodzi po świecie". Charaktery, jak przykonywujące. Patrząc na odruchy i słuchając wrzasków tego tłumu odnosiło się wrażenie... teatralnej sztuczności, a to w teatrze jedna z podstawowych wad. Dała się też bardzo we znaki główna słabość tego reżysera — słabe wykorzystanie świateł. Inscenizacja była stanowczo za ciemna. Sceny bitewne nie były zainscenizowane przekonywująco. O scenie morderstwa Cezara i o scenie oracji pogrzebowych można powiedzieć, że zostały oddane zaledwie poprawnie. Kostiumy zaprojektowane przez Audrey Cruddas, pogłębiały wrażenie ogólnej szarzyzny. Dekoracje (również jej pomysłu) nie olśniewały kolorystycznie, ale były ekonomiczne (dobre kondygnacje schodów przez całą głębokość sceny), a kilka sylwetek architektonicznych tła było całkiem udanych.

Paul Rogers był opanowanym, wystudiowanym Brutusem. Nie była to jego najlepsza kreacja, jaką mieliśmy możność widzieć, nie zawsze czuł się w tej roli dobrze. Niemniej jednak doświadczony i zdolny ten aktor był zawsze w tej roli przekonywujący, a w niektórych momentach (oracja, sceny końcowe) wręcz znakomity. John Neville był świetnym Markiem Antoniuszem — grał z temperamentem i wyczuciem niuansów tej roli. Jego oracja pogrzebowa była osiągnięciem dużej miary. Richard Wordsworth nie zachwycił mnie jako Kasjusz. Być może winne są temu jego ograniczone możliwości wokalne. Gerald Cross był znośny w roli Cezara. Reszta aktorów niestety nie wybijała się, z wyjątkiem paru, którzy wybijali się... negatywnie.

Na ogół trzeba powiedzieć, że pierwsza w tym sezonie inscenizacja miała charakter raczej funkcjonalny i nie odznacza się ani wielkimi wadami, ani — co gorsza — wybitnymi zaletami.

„WESOŁE KUMOSZKI Z WINDSORU"

Jako drugą sztukę w bieżącym sezonie Old Vic wystawił coś z zupełnie innej beczki — jedną z najlżejszych sztuk Szekspira — **Wesołe kumoszki z Windsoru.** Podobno po obejrzeniu **Henryka IV** królowa Elżbieta miała oświadczyć, że chciałaby zobaczyć Falstaffa zakochanego. Aby uczynić zadość temu życzeniu, Szekspir napisał właśnie **The Merry Wives of Windsor** (1600), beztroską komedię, w której gruby rycerz usiłuje bezskutecznie uwieść dwie czarujące i rezolutne mieszczki. Jego kolejne miłosne eskapady kończą się wyniesieniem go w koszu z bielizną i wrzuceniem do Tamizy, ucieczką w przebraniu kobiecym przed zazdrosnym mężem, oraz skonfundowaniem w parku windsorskim przez przebranych za wróżki i chochliki towarzyszy. Jest tam jeszcze i drugi wątek, polegający na tym, że o córkę jednej z uroczych mieszczek stara się jednocześnie dwóch kabotynów i pewien romantyczny młodzieniec, który ją zdobywa. Ale cała sztuka napisana jest pod kątem Falstaffa.

Falstaff z **Wesołych kumoszek** to oczywiście nie całkiem ta sama postać, co Falstaff z **Henryka IV.**(5) Nie jest on tu wykładnikiem filozoficznych założeń egoizmu przeciwstawionych wydarzeniom historycznym, które się koło niego rozgrywają, ale po prostu bufonem, żywiołową postacią komiczną. Po głębszym zastanowieniu widać jednak, że Falstaff z **Kumoszek** jest w gruncie rzeczy praktycznym zastosowaniem tez Falstaffa z **Henryka** na użytek codzienny. Jest egoistą bez skrupułów, myślącym wyłącznie o zaspokojeniu potrzeb swego przepastnego brzucha, gardła i cnuci. Nie należy jednak dopatrywać się w tej sztuce specjalnie głębokiej filozofii. Jest to jedna z najbardziej bezpruderyjnych komedii Szekspira. Spośród jego sztuk wyróżnia się tym, że prawie w całości napisana jest prozą. Poza tym jest to jedyna komedia Szekspira, której akcja osadzona jest bez żadnego kamuflażu w Anglii i mimo teoretycznie wcześniejszego osadzenia akcji stanowi kopalnię wiedzy o elżbietańskim życiu i zwyczajach.

Reżyser Douglas Seale nadał swojej inscenizacji **Kumoszek** interpretację farsową. Pozbawił przez to sztukę wartości dzieła literackiego i uczynił z niej wyłącznie wehikuł teatralnych efektow. Brak poszanowania dla autora wyraził się w naszpikowaniu tekstu dodatkowymi wstawkami, mającymi ubarwić rozmaite wzrokowe efekty, których Szekspir w żadnym wypadku nie przewidział. Trzeba przyznać, że jeśli zaakceptujemy farsową koncepcję, została ona przeprowadzona konsekwentnie i w sposób bardzo udany. Salwy śmiechu, które towarzyszyły całemu przedstawieniu, były w dużej mierze zasługą nie tylko Szekspira i aktorow, ale pomysłowego reżysera (np. nieme efekty, uzyskane w scenie pierwszego spotkania Falstaffa z Fordem, II, 2, były majstersztykiem farsowej reżyserii). Paul Shelving zaprojektował kostiumy (których chronologia sięgała od wczesnych Tudorow po Stuartow) i semi-elżbietańskie stałe dekoracje (włącznie z wywieszaniem tablic mowiących, gdzie dana scena się rozgrywa), które umożliwiły nadanie przedstawieniu szybkiego tempa, tak zasadniczego dla farsy. Przyjemną muzykę skomponował John Hotchkis.

Dobrze się stało, że **Kumoszki** wystawiono prędko po **Henryku IV** i że mieliśmy możność oglądać Paul Rogersa jako Falstaffa w obu sztukach. Aktor ten bardzo dobrze uchwycił różnicę między dwoma wersjami tej postaci i oddał ją znakomicie stylem gry, a nawet odmienną charakteryzacją. Oczywiście trzeba założyć, że przyjmujemy farsową interpretację **Kumoszek.** Osobiście jestem takiej interpretacji przeciwny. Być może, że i Rogers był przeciwny, ale musiał się podporządkować koncepcji reżysera. W ramach farsowej koncepcji Rogers był znakomitym Falstaffem, pełnym wigoru, rozmachu i humoru, ale zarazem finezji. Oddał wszelkie odcienie tej roli i stworzył postać kompletną. Nie grał Falstaffa, ale był nim. Niepotrzebnie tylko przyprószono go na końcu śniegiem i ukazano w charakterze św. Mikołaja. Prawdopodobnie z powodu zbliżającej się Gwiazdki robiono ten efekt trochę pod tradycyjną w tym kraju pantomimę.

Inni aktorzy nie byli postaciami, które reprezentowali, ale grali je, czemu zresztą trudno się dziwić. Pozostałe role były bowiem mniej wdzięczne. Niemniej jednak Margaret Rawlings była świetną Mistress Ford, a Wendy Hiller znośnie grała Mistress Page. Richard Wordsworth i Jack Gwillim poprawnie grali role mężów. Pozostali aktorzy dość nierówni, ale rażących niedociągnięć nie było.

W sumie impreza bynajmniej nie artystyczna i szekspirowski krytyk machnie na nią pogardliwie ręką. Ale pozostaje faktem, że publiczności sztuka w tym ujęciu bardzo się podobała, a wydaje mi się, że i sam Szekspir setnie by się na tym przedstawieniu uśmiał.

„OPOWIEŚĆ ZIMOWA"

Następną z kolei inscenizacją Old Vic była **Opowieść zimowa.** Sztuka ta stanowi wraz z **Burzą**(6) osobną kategorię w twórczości Szekspira. Są to dwie ostatnie jego sztuki, odmienne w formie od reszty. **The Winter's Tale** (1610) podejmuje na nowo motyw **Otella** i w pierwszych aktach zakrojona jest na tragedię zazdrości. Ale stary poeta inaczej już zapatruje się na sprawy ludzkie. Na miejsce buntu i sceptycyzmu przyszła pozytywna akceptacja chrześcijańskiego światopoglądu. Szekspir nie jest już psychologiem analizującym samotność człowieka w obliczu złego świata i własnych namiętności. Operuje psychologią jakby uproszczoną, skróconą, nie troszczy się też o prawdopodobieństwo opisywanych wydarzeń czy miejsc (słynne morskie wybrzeże Czech!). Ta bajka, przypowieść na długie zimowe wieczory, ma ilustrować morał i nową podstawową prawdę, którą poeta odkrył. Prawdę o tym, że człowiek jest dzieckiem Bożym. Cokolwiek by się nie stało, może zawsze być odrobione. Każdy grzech może być przebaczony i kara zawieszona, a szczęście osiągnięte, jeśli następstwem grzechu jest szczery żal i pokuta.

Założenia filozoficzne przyjęte przez poetę wyraziły się w swoistej formie utworu. Zazdrość Leontesa i wydarzenia będące jej skutkiem nakreślone są szerokimi, ostrymi liniami. Konstrukcyjnie sztuka przełamana jest nagle w połowie przez chórowy monolog Czasu, oddzielający pierwsze tragediowe akty od następującej — po szesnastoletniej przerwie — części komedio-

Paul Rogers jako Falstaff

dworskiego teatru. Nie był zresztą krępowany i pisał ku własnej głównie satysfakcji. Jednak pod piórem starego teatralnego wygi poezja, nawet gdy gra pierwsze skrzypce, nigdy nie powstrzymuje ani nie osłabia akcji.

Przez swą skomplikowaną strukturę **Opowieść zimowa** nastręcza reżyserowi niemało problemow, ale że mogą one być zwycięsko pokonane, dowiodła przed paroma laty udana inscenizacja Peter Brooka. Nie można niestety powiedzieć tego samego o obecnym wystawieniu sztuki w Old Vic. Reżyser Michael Benthall nie scalił należycie poszczególnych partii sztuki i zatarł przejścia (np. nie można sobie wyobrazić g o r s z e g o wykonania sceny z niedźwiedziem), nie mowiąc juz o tym, że jego inscenizacja jest konglomeratem rozmaitych, nieraz bardzo odrębnych stylow gry aktorskiej. Nie należy ona do przekonywujących osiągnięć Old Vic. Ma fragmenty udane, ale na ogół nie wykracza poza rzemieślniczą poprawność, której widzieliśmy w ostatnich latach w Old Vic zbyt wiele. Bardzo piękne i pomysłowe były natomiast dekoracje i kostiumy, zaprojektowane przez Peter Rice'a, które przyczyniły się niemało do poprawy ogólnego wrażenia. Zarowno fantazyjno - klasyczna dekoracja scen pałacowych, jak i fantazyjno - sielska dekoracja scen wiejskich stanowiły wielką przyjemność dla oka, zwłaszcza w zestawieniu z kostiumami.

Paul Rogers dał konsekwentnie przemyślaną kreację Leontesa, raziła mnie jednak jego melodramatyczna szorstkość i hałaśliwość. Osobiście wolałem znacznie subtelniejszą i głębszą interpretację tej roli przez Johna Gielguda w londyńskiej inscenizacji sprzed paru lat. To samo, acz z innych powodów, muszę powiedzieć o Wendy Hiller w roli Hermiony. Jej interpretacja uderzała szczerością i odczuciem roli, ale szwankowało niestety wyczucie szekspirowskiego wiersza, nie miała też niezbędnego w tej roli majestatu. Pod tymi względami subtelna kreacja Flory Robson jako partnerki Gielguda we wspomnianej inscenizacji stała znacznie wyżej. Zena Walker jako Perdita okazała się bardzo ograniczona w środkach aktorskich i wbrew zamierzeniom autora zaprezentowała się jedynie jako wiejska dziewczyna. Niewątpliwie najlepsze kreacje stworzyli: Margaret Rawlings świetna jako Paulina, oraz John Neville, który ukazał nowe oblicze w charakterystycznej roli Autolycusa, ostatniej z postaci komicznych Szekspira. Harold Kasket dał świetną miniaturkę w roli dworzanina. Gra reszty aktorów zaledwie średnia, miejscami słaba.

W sumie inscenizacja **Opowieści zimowej** ma swe dobre momenty, ale jako całość nie zachwyca miłośników Szekspira. Może liczyć na powodzenie publiczności, ale szeregu wybitnych wydarzeń szekspirowskich nie pomnoży. Na podstawie pierwszej połowy obecnego sezonu Old Vic powiedzieć można, że teatr ten odczuwa — miejmy nadzieję, że chwilowo — brak tego elementu, z którego najbardziej w przeszłości słynął: wysokiego poziomu artystycznego.

Bolesław Taborski

(1) Patrz ŻYCIE nr 11/351 z 14. 3. 1954 r.
(2) Patrz ŻYCIE nr 43/383 z 24. 10. 1954.
(3) Patrz ŻYCIE nr 8/400 z 20. 2. 1955.
(4) Patrz ŻYCIE nr 15/355 z 11. 4. 1954.
(5) Por. ŻYCIE nr 20/412 z 15. 5. 1955.
(6) Patrz ŻYCIE nr 21/361 z 23. 5. 1954.

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

NIEDZIELA, 1 stycznia 1956.

WYSTAWA MICKIEWICZOWSKA
W FAWLEY COURT

Dla uczczenia setnej rocznicy zgonu poety i zbliżenia go do naszej młodzieży, ks. superior J. Jarzębowski, wybitny pedagog i założyciel zakładów naukowych dla polskiej młodzieży i zbieracz cennych poloniców na emigracji, urządził skromną, ale dobrze pomyślaną wystawę mickiewiczowską w salach bibliotecznych kolegium w Fawley Court. Jakkolwiek jej katalog obejmuje ponad 200 pozycyj, tylko nieznaczna część eskponatów (około 10 proc.) wypożyczono z polskich instytucji kulturalnych w Londynie oraz od osób prywatnych, znakomita większość należy do zbiorów gromadzonych od szeregu lat przez o. superiora.

Wystawę podzielono na działy: przedmiotów pamiątkowych po poecie, pierwszych wydań jego dzieł, obrazów i rycin, wydań artystycznych i bibliofilskich, wydań polskich i tłumaczeń na obce języki (z szczególnym uwzględnieniem „Pana Tadeusza"), wiedzy o Mickiewiczu (biografie i rozprawy o twórczości), wydania emigracyjnych dzieł Mickiewicza, oraz na działy pod takimi nagłówkami jak: Mickiewicz w poezji emigracyjnej, w pieśni, w prasie, a nawet w filatelistyce.

Przejrzysty układ wystawy pozwala zwiedzającym, a zwłaszcza młodzieży, na zachowanie w pamięci wielu szczegółów, które albo by uszły ich uwagi, albo zostały szybko zapomniane.

Ze względu na warunki emigracyjne, w jakich wystawę urządzono, trudno nie wymienić niektórych eksponatów, gdyż to najlepiej ilustruje jej wartość. I tak do prawdziwych klejnotów wystawy należą przede wszystkim niektóre pamiątki po poecie, jak serwetka z jego „A. M.", lub przezeń ofiarowane własne utwory z własnoręczną dedykacją. Dalej kompozycje pianistki Marii Szymanowskiej, matki żony poety Celiny Mickiewiczowej, oraz przedmioty należące do Maryli z Wereszczaków Putkamerowej (depozyt pp Rychlewiczów z Londynu). Wśród wizerunków bardzo interesujący jest obraz nieznanego malarza francuskiego z głowami rzekomo Mickiewicza i B. Zaleskiego (depozyt dra Prus-Wiśniewskiego z Paryża).

Z zadumą zatrzymujemy się przy gablotkach z pierwszymi wydaniami „Sonetów", „Konrada Wallenroda" (depozyt płk. Ułaszyna z Londynu), „Księg pielgrzymstwa", „Pana Tadeusza" i „Zimy miejskiej". Wśród wydań bibliofilskich pierwsze miejsce zajmują wydania znanej oficyny florenckiej Tyszkiewicza. Osobliwość stanowi „Album wileński" A. Wilczyńskiego (depozyt gen. Sulikowej); jest to pokaźny i grubaśny tom in folio, pełen wielobarwnych pejzaży Wilna i jego okolic, ale też i innych dzielnic Polski.

Bogato przedstawia się dział tłumaczeń, przede wszystkim „Pana Tadeusza". Mamy więc maszynopis tłumaczenia na język gruziński, obok przekładów niemieckich, francuskich, angielskich, szwedzkiego i żydowskiego.

Wśród nowych wydań dzieł Mickiewicza jest też propagandowe wydanie sowieckie po polsku, ale z rosyjską przedmową.

Pamiątki z uroczystości odsłonięcia pomników i wieczorów urządzanych ku czci naszego poety, zwłaszcza w Paryżu, świadczą o kulcie Mickiewicza zarówno w Kraju jak i za jego granicami.

Przy okazji zwiedzania wystawy mickiewiczowskiej znawcy mogą też rzucić okiem na inne skarby w zbiorach gromadzonych przez o. Jarzębowskiego, niektóre naprawdę zupełnie nieoczekiwane, jak np. zbiór aktów wszystkich królów elekcyjnych z oryginalnymi podpisami monarchów, i wiele, wiele innych cennych pamiątek, które zawsze pogodnie uśmiechnięty ojciec superior zbierał w czasie swej wędrówki dokoła całego globu, opiekując się zwykle polskimi dziećmi i młodzieżą. Ale najukochańszym jego dziełem pozostanie sam zakład w Fawley Court, gdzie młodzież polska oddycha atmosferą polskiej kultury.

J. Cz.

WŚRÓD KSIĄŻEK I CZASOPISM

NAJSTARSZA KSIĄŻKA SPRZEDANA DO AMERYKI

Donosiliśmy już o tym, że w ręce amerykańskie przejść ma najstarsza drukowana książka europejska, mianowicie tzw. „Mszał Konstancjeński, odbijany 505 lat temu przez Gutenberga. Nabywcą jest znana amerykańska rodzina bankierska Pierponta Morgana. Akt sprzedaży doszedł już do skutku; cena wynosi ponad 30 tysięcy dol. Właścicielem do tej pory był zakon kapucynów w Szwajcarii. Superior zakonu oświadczył, że zdecydowano się książkę sprzedać, potrzebne są bowiem pieniądze na cele misyjne.

GŁOSY O DRUGIEJ ANGIELSKIEJ POWIEŚCI PIETRKIEWICZA

Podawaliśmy na tym miejscu wyjątki z pierwszych recenzji brytyjskich o powieści Jerzego Pietrkiewicza „Loot and Loyalty". Głosów tych namnożyło się od tego czasu sporo, a wszystkie bez wyjątku są przychylne.

Znany miesięcznik „Encounter" w zeszycie październikowym stwierdza, że wśród nowych wydawnictw godne polecenia są dwie książki, wyróżniające się pełną wyobraźni narracją i interesujące ze względu na niezwykłe okresy i tła, na jakich się rozgrywają, mianowicie „Roman Wall" Bryhera i „Loot and Loyalty" Pietrkiewicza. „Pietrkiewicza 'atak' w sensie muzycznym jest tak zdecydowany, że stworzył on na wskroś interesującą książkę."

„Cambridge Daily News" stwierdza, że „Loot and Loyalty" jest książką wybitną z wielu przyczyn. „Autor, choć pisze nieskazitelną angielszczyzną, przydaje książce niezwykłego, pikantnego smaku, którego, powiedzmy, nie byłoby, gdyby napisana została najpierw w jego własnym języku, a później dopiero przełożona."

Tygodnik „Truth" określa książkę Pietrkiewicza jako „fantazję dowcipną i umiejętnie napisaną, a przecież lotną". Swoje opowiadanie historyczne Pietrkiewicz prowadzi z „dużą dozą humoru i poezji". „Jego styl jest zmienny, od skrajnej żywości do złożonej subtelności aluzji."

Według recenzenta „Manchester Evening News" rzecz Pietrkiewicza pisana jest „z głębokim wyczuciem mistycyzmu Polski i Polesia".

„Press and Journal" (Aberdeen) daje swej recenzji tytuł „Fascynujące". Stwierdza, że temat traktowany jest żywo i umiejętnie. Podobnie „Evening Citizen" (Glasgow), pisze, że autor napisał „imponującą powieść w niezwykle oryginalnym stylu".

„Montrose Review" pisze, że autor stworzył książkę, która jest równie interesująca jak przekonywująca. „Podobnie jak „The Knotted Cord", pierwsza powieść Pietrkiewicza — ciągnie recenzent — także „Loot and Loyalty" pisana jest z przejrzystą jasnością i współczującym spojrzeniem na każdy szczegół i postać. Jerzemu Pietrkiewiczowi pogratulować należy jego opanowania idiomatycznej angielszczyzny ale trzeba wybaczyć potencjalnym czytelnikom, którzy by pragnęli, by przybrał on jakiś prosty pseudonim!"

„Weekly Scotsman" podkreśla, że powieść odmalowuje brutalność epoki i wydobywa na światło dzienne dwie historyczne postacie, co do których wiele było przypuszczeń i domniemań.

„Bon Accord" (Aberdeen) wyraża opinię, że „problem kapitana Hume w tej doskonałej powieści jest odwróceniem zagadnienia „displaced persons": Szkot na wygnaniu w Europie wschodniej".

„Yorkshire Observer" zaznacza, że „wszystkie postacie tej osobliwej powieści są interesujące w swym realizmie i rozmaitości".

„Northern Echo" (Darlington) wyraża pogląd, że „wybitny autor tej wybitnej powieści jest poetą polskim, który pisze bardziej idiomatyczną angielszczyzną niż kiedykolwiek zdołał to uczynić Conrad".

Przychylne recenzje o „Loot and Loyalty" ukazały się nadto w „Birmigham Post", „Guardian-Journal" (Nottingham), „Evening Express (Aberdeen), „Courier", „Evening Herald" (Dublin).

BADANIA PORÓWNAWCZE W RÓŻNYCH KRAJACH ŚWIATA

Ogromny wzrost liczby zachorowań na serce w Stanach Zjednoczonych — większy niż w jakimkolwiek innym kraju — spowodował, że kierownicze sfery lekarskie Ameryki zwróciły szczególną uwagę na to zagadnienie. Zorganizowano cztery specjalne grupy badawcze, jedną pod przewodnictwem dr. Gofmana z uniwersytetu kalifornijskiego, drugą pod przewodnictwem prof. M. Lauffera z uniwersytetu w Pittsburgu, trzecią, którą kierują dr Irving Page z Cleveland Clinic-Fundation, i wreszcie czwartą, na której czele stoi prof. Frederick Stare z uniwersytetu Harvard. Poza tym osobną grupę stanowi grono uczonych pod kierunkiem dr. Ancela Keys, z uniwersytetu w Minnesocie. Przeprowadzała ona badania porównawcze w różnych krajach świata, korzystając z wydatnej pomocy fundacji Carnegiego.

Wynik tych badań? Stwierdzają one zgodnie, że częstość zachorowań na serce, w szczególności zawałów serca (thrombosis) pozostaje w ścisłym związku ze sposobem odżywiania się — przy czym skutki specjalnie ujemne wywołuje obfita konsumpcja tłuszczu. Od dawna już było wiadomo, że wielkim niebezpieczeństwem dla serca jest nagromadzenie się w naczyniach wieńcowych serca tłustej substancji, zwanej cholesterolem. Substancja ta, wytwarzana przez wątrobę, jest niezbędna dla ciała i znajduje się w większości jego tkanek. Jednak nadmierna jej ilość w ściankach naczyń wieńcowych serca może zwęzić przejście potrzebne dla krwi, a w dalszym ciągu powoduje ono zamknięcie arterii przez skrzep krwi.

Doświadczenia przeprowadzone przez grupę dra Keysa w Neapolu wśród 200 osób, wykazały, że mają one w swej krwi znacznie mniej cholesterolu niż Amerykanie. Jest to wynikiem faktu, że Włosi spożywają zaledwie połowę ilości kalorii tłuszczu, spożywanych przez Amerykanów. Ilość wypadków śmierci, wywołanych chorobami serca o charakterze degeneracyjnym, wynosi we Włoszech zaledwie jedną trzecią tego co w Ameryce. Obliczenia, przeprowadzone w czasie drugiej wojny światowej w krajach skandynawskich, stwierdziły, że racjonowanie tłuszczów dało bardzo dodatnie rezultaty, jeżeli chodzi o choroby serca. Największy spadek w ilości tych chorób nastąpił w Norwegii, gdzie racje były najniższe. Jeżeli chodzi o Japonię, gdzie ludność żywi się głownie ryżem i rybami, ilość wypadków śmierci, wywołanych chorobą naczyń wieńcowych serca, wynosi zaledwie jedną dziewiątą tego, co w Stanach Zjednoczonych.

Blake Clark, autor artykułu w „Reader's Digest" na ten temat, konkluduje, że w krajach, w których istnieje duży odsetek zgonów z powodu chorób serca, konieczne jest ograniczenie spożycia tłuszczu. Wśród rad praktycznych, jakie podaje, uważa nawet za wskazane zastąpienie masła używanego do chleba marmoladą lub dżemem. Lekarze jednak zgodni są co do tego, że owa redukcja spożycia tłuszczu nie powinna mieć jakiegoś radykalnego charakteru.

PROPAGANDA NIEMIECKA PRZY POMOCY FOTOGRAFII

W bibliotekach londyńskich znalazła się ostatnio książka o Śląsku, wydana przez Niemców w języku angielskim. Tytuł książki: „Silesia in pictures — (record of remembrance)", autor Alfons Teuber, tłumacz D. Sonft, wydawnictwo: Verlag Christ Unterwegs — Munich, wydanie drugie, 1951, str. 100. Tekst, a właściwie kilkaset ilustracji fotograficznych uzupełnionych tu i owdzie tekstem, poprzedza słowo wstępne dra Josepha Wittiga, zmarłego w roku 1949 koło Lüneburgu, na „wygnaniu" — jak to zaznaczono w książce.

Oczywiście ten propagandowy dopisek nazywa wygnaniem ziemie rdzennie niemieckie, gdzie się Niemiec dr Wittig znalazł po opuszczeniu Śląska.

Śląsk nazywa on w swej przedmowie „straconym domem", a pracę wydawców nad książką: „owocem miłości".

Tylko że Śląsk to „polski dom" i wydany album cieszy nasze polskie oczy pięknem tej ziemi. Album zawiera krajobrazy, typy ludowe, kościoły, zamki Piastowskie.

Autor chciałby stworzyć w czytelniku przekonanie o niemieckości Śląska, nie udaje mu się jednak ten zamysł. Wspomina, bo trudno nie wspomnieć piszą o Śląsku, o dynastii Piastów — a nie byli to Niemcy, to już trudno i darmo.

Tęsknią wydawcy za miastami śląskimi. „Straconym domem" dla nich jest Głogów, Wrocław, Racibórz, ba nawet Katowice. Rzeźbiarz Szmergalski, pisarz Liszka, o których wspomina książka, nie są najlepiej wybranymi nazwiskami dla podkreślenia niemieckości Śląska.

Dla bacznego czytelnika ta propagandowa książka niemiecka dużo powie o polskości Śląska. A zdjęcia są poza tym przepiękne, niektóre nieznane nawet nam Polakom i album jest wart poznania jako dzieło sztuki fotograficznej.

LISTY DO REDAKCJI

Książka emigracyjna jest w Kraju przez reżym tępiona

Szanowny Panie Redaktorze!

Może przyda się Panu poniżej opisany drobny fakt, zawierający dużą wymowę.

Po ukazaniu się w ubiegłym roku pracy M. Winowskiej „Szaleniec Niepokalanej" wspomniałem o tej książce w liście do swej matki w Polsce, która nie tylko znała o. Kolbego, ale go uwielbiała. Gdy matka wyraziła chęć posiadania książki o nim, wysłałem jej jeden egzemplarz, który nigdy nie doszedł do jej rąk. „Skieruj przesyłkę na klasztor franciszkanów w Niepokalanowie — pisała mi matka po miesiącach bezowocnego czekania, podając nazwisko jednego z tamtejszych ojców, którego znała. — Nie przypuszczam, by cenzura celna miała zastrzeżenia do żywotu założyciela tego klasztoru..."

Posłuchałem rady i wysłałem przez księgarnię „Veritas" dwa egzemplarze „Szaleńca". Przez następne cztery miesiące w listach od matki wciąż znajdowałem dopisek: „książek jeszcze nie ma". Doszedłem do wniosku, że zostały skonfiskowane w Polsce. Spróbowałem więc wysłać jeden egzemplarz przesyłką poleconą. Liczyłem na to, że jeśli w Polsce przesyłki nie mogą adresatowi doręczyć, to po prostu mi zwrócą. Było to w sierpniu 1955 r. Przesyłka nie doszła do adresata, ani nie została mi zwrócona. Zaginęła.

Los czterech egzemplarzy książki jest wiadomy. Zostały skonfiskowane przez władze komunistyczne, bo książka mówiąca o założycielu Niepokalanowa, o człowieku, którego życie wypełnione było prawdą i miłością do Boga i wszystkich ludzi, nawet do tych, którzy byli na usługach zła, książka na wskroś religijna i apolityczna, mająca aprobatę władz duchownych — nie może mieć w Polsce dostępu nawet do klasztoru, który o. Kolbe dosłownie własnymi rękami budował i skąd promieniował na kraj i świat.

Ten drobny na pozór fakt odsłania całą kłamliwość twierdzeń „katolików postępowych" o wolności religijnej w dusznym zamknięciu za żelazną kurtyną w Polsce.

J. Z. S.

(nazwisko i adres znane redakcji)

Kalendarz Rodziny Polskiej

Na Rok Pański 1956

MOŻE BYĆ PRZYJACIELEM I TWOJEJ RODZINY

224 strony ciekawej, różnorodnej treści,
ponad 100 ilustracji, format albumowy.
CENA szyl. 7/6, z przesyłką szyl. 8/-.
dol. 1.50, DM 5.00.

Do nabycia:

w **VERITAS FOUDATION PUBLICATION CENTRE**
12 PRAED MEWS, L O N D O N, W. 2 (ENGLAND)
i we wszystkich polskich księgarniach.

K R O N I K A

JUBILEUSZ KS. KANONIKA N. TURULSKIEGO

Znany szeroko i wysoce ceniony wśród Polonii londyńskiej proboszcz polskiego kościoła na Devonii, ks. kanonik Narcyz Turulski obchodził w dniu 21 grudnia dwudziestopięciolecie swoich święceń kapłańskich. Uroczystości jubileuszowe, zorganizowane przez stworzony w tym celu komitet, odbyły się w dniu niedzielnym, 18 grudnia.

Katolicki Ośrodek Wydawniczy Veritas, a także i redakcja ŻYCIA złożyły już swoje serdeczne życzenia Jubilatowi, z którym nas łączą węzły ścisłej współpracy. Dzisiaj, korzystając z okazji tego jubileuszu, pragniemy jedynie choć w słowach najkrótszych streścić przebieg życia i pracy ks. kanonika Turulskiego w ciągu minionego dwudziestopięciolecia.

Urodzony 31 października 1907 roku na Pomorzu, w diecezji chełmińskiej, ks. kanonik Turulski ukończył seminarium duchowne w Pelplinie, otrzymawszy w dniu 21 grudnia 1930 roku święcenia kapłańskie z rąk ks. biskupa Okoniewskiego. W tejże diecezji chełmińskiej zaczyna zaraz pracować jako katecheta, kolejno w szkołach powszechnych i średnich w Tczewie i w Nowym Mieście nad Drwęcą.

W czasie wybuchu drugiej wojny światowej jest w Puławach, skąd przenosi się do Wilna, gdzie już w okolicznościach wojennych zdobywa stopień magistra świętej Teologii i zaraz potem zostaje przez bolszewików aresztowany i wywieziony najpierw do obozu w Starobielsku, a następnie do Kożwy.

Zwolniony w 1942 roku razem z innymi Polakami z sowieckich łagrów — zgłasza się niezwłocznie do pracy duszpasterskiej wśród rodaków deportowanych na Syberię. Powołany do wojska pełni służbę jako kapelan 6 d. p. i 6 baonu Dzieci Lwowskich. W Iraku jest kapelanem grupy artylerii 9 p. a. l. oraz 11 p. a. c. Z tymi oddziałami bierze udział jako duszpasterz w walkach II Korpusu w Italii, gdzie za odwagę wykazaną w bitwie pod Monte Cassino odznaczony zostaje Krzyżem Walecznych.

Od 1944 do 1946 r. jest kapelanem Centrum Wyszkolenia Artylerii. Jako zasłużony duszpasterz wojskowy otrzymuje Srebrny Krzyż Zasługi z Mieczami oraz stopień starszego kapelana (majora), a biskup polowy W. P. obdarza go przywilejem używania rokiety i mantoletu kanonickiego.

Po przyjeździe do Anglii i po rozwiązaniu P.K.P.R. ks. kanonik Turulski pełni pracę duszpasterską w wielu równocześnie polskich hostelach. Niesie słowo Boże do Perton, Wolverhampton, Ailston, Coventry, Leamington, Long Marston, Redditch, Studley, Warwick, Kidderminster, Rugby, Malborough i do innych polskich skupisk. W latach 1949-50 pracuje w Coventry i w okolicy, skąd w maju 1950 roku powołany zostaje na obecne stanowisko do Londynu. Jako proboszcz jedynego — jak dotychczas — polskiego kościoła w Londynie, ks. kanonik Turulski rozwija szeroką działalność duszpasterską i społeczną. Dużo energii i inicjatywy wkłada m. in. w rozszerzenie zakresu zadań istniejącego od dawna przy kościele na Devonii Polskiego Towarzystwa Katolickiego. Z inicjatywy Jubilata powstają w tym Towarzystwie nowe sekcje, jak: charytatywna, młodzieżowa z kołem teatralnym, a także chór i koło rodzicielskie.

Ks. kanonik Turulski założył i prowadzi przy kościele na Devonii polską szkołę sobotnią, w której uczy się obecnie 280 dzieci.

Dzięki staraniom Jubilata powstała również kolonia na wyspie Canvey, gdzie co roku 60 polskich dzieci używa wywczasów nad brzegiem morza pod dobrotliwą opieką ks. Kanonika. Opalająca się w słońcu dzieciarnia ma zapewne dla swego opiekuna uśmiech podobny do uśmiechu dziewczynki na fotografii obok zamieszczonej.

Ks. kanonik Narcyz Turulski jest czynny nie tylko w swojej parafii. Bierze żywy udział w życiu kulturalnym i narodowym Polaków w Wielkiej Brytanii. Jest członkiem zarządu głównego Polskiej Macierzy Szkolnej, jest w Komisji Koordynacyjnej przy Zjednoczeniu Polaków w Wielkiej Brytanii, a także w Komisji Nauczania Przedmiotów Ojczystych.

Ks. kanonik Narcyz Turulski

Te wszystkie tak liczne prace społeczne umie łączyć ze swoimi obowiązkami w parafii, dla której jest szczególnie oddanym opiekunem i duszpasterzem.

DZIESIĘCIOLECIE STOWARZYSZENIA LOTNIKÓW POLSKICH

Znane dawniej pod nazwą „Samopomocy Lotniczej" Stowarzyszenie Lotników Polskich obchodziło w końcu 1955 roku dziesięciolecie swojej działalności.

Stowarzyszenie Lotników Polskich jest organizacją o zasięgu światowym posiadającą swe placówki nie tylko w Wielkiej Brytanii, ale również i w Argentynie, Australii, Kanadzie i Stanach Zjednoczonych Ameryki.

Cztery domy Stowarzyszenia: w Londynie, Blackpool, Derby i Nottingham służą nie tylko jego członkom, ale także i całemu miejscowemu społeczeństwu polskiemu.

Stow. Lotników Polskich jest organizacją samopomocową i koleżeńską. Cieszy się ono chyba najwydatniejszym poparciem społeczeństwa brytyjskiego spośród organizacji polskich w Wielkiej Brytanii, co dowodziłoby, że Brytyjczycy nie zapomnieli o zasługach polskich lotników w czasie drugiej wojny światowej.

Fundusz społeczny, którym Stowarzyszenie rozporządza, pozwala mu na niesienie pomocy finansowej tym członkom Stowarzyszenia, którzy są w trudnych warunkach materialnych. Istnieje także specjalny fundusz pomocy wdowom i sierotom po lotnikach, a także fundusz gospodarczy, z którego Stowarzyszenie udziela swym członkom pożyczek na zakładanie nowych warsztatów pracy lub na rozwinięcie przedsiębiorstw już istniejących.

Liczne sekcje i kluby Stowarzyszenia Lotników Polskich starają się zainteresować młodzież polską zagadnieniami lotnictwa. Oprócz sekcji o charakterze ściśle lotniczym Stowarzyszenie popiera i inne inicjatywy zmierzające do umożliwienia młodzieży polskiej korzystania w pewnym sensie z zasobów materialnych, jakimi Stowarzyszenie rozporządza.

Patronem Stowarzyszenia jest marszałek lotnictwa brytyjskiego Sir John Slessor, a w skład Komitetu Honorowego wchodzi wiele znanych i cenionych osobistości polskich i brytyjskich.

Sumując tę pożyteczną i — jak na warunki emigracyjne — na mocnych opartą podstawach działalność — można tylko życzyć Stowarzyszeniu Lotników Polskich równie owocnej pracy i na przyszłość.

Ś. † P.

LUDWIK NAPOLEON

BODAR-ROUSSEAU

Inżynier

Urodzony 20. XI. 1932 r. w majątku Mstyczów, Ziemi Kieleckiej, syn lekarza Ludwika i Wandy z domu Kugler, po ciężkiej chorobie, opatrzony Św. Sakramentami, zasnął w Panu w kwiecie swej młodości, dnia 21 grudnia 1955 r. w Neasden Hospital w Londynie. Niech Go ziemia utuli jak Matka.

O tej bolesnej stracie zawiadamiają pogrążeni w szczerym żalu i smutku

OSTOJA - KOTKOWSCY,
KOLEDZY I ZNAJOMI

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno - Kulturalny. Wydaje Veritas Foundation Publication Centre. Adres Redakcji i Administracji: Polish Weekly ŻYCIE, 12 Praed Mews, London, W. 2. England. Telefony: Redakcja i Administracja: AMBassador 6879. Drukarnia: PADdington 0734. Godziny przyjęć w Redakcji: codziennie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt, tylko od godziny 15.30 do 16. Administracja czynna codziennie od godziny 9 do 12 i od 14 do 17 z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja rękopisów nie zwraca. W wyjątkowych wypadkach, na ewentualny zastrzeżony zwrot, prosimy dołączyć znaczki pocztowe. P R E N U M E R A T A płatna zgóry wynosi: miesięcznie 4 szyl. 6d., kwartalnie 13 szyl., półrocznie 26 szylingów. W P Ł A T Y a) w krajach bloku esterlingowego: Postal albo Money Orderami lub czekami bankowymi „crossed" (//); b) w krajach bloku dolarowego: International Money Orderami lub zwykłym czekiem jakiegokolwiek banku amerykańskiego; c) we wszystkich innych krajach: do miejscowego przedstawiciela naszego pisma sposobem przyjętym w danym kraju lub międzynarodowym przekazem pocztowym bezpośrednio do administracji ŻYCIA. C E N Y O G Ł O S Z E Ń: 1 cal przez 1 łam = £ 1.0.0, w tekście — 50% drożej, na stronie tytułowej — 100% drożej. P R Z E D S T A W I C I E L S T W A i C E N A P R E N U M E R A T Y W R Ó Ż N Y C H K R A J A C H: **ARGENTYNA: „Libreria Polaca"**, Serrano 2076 piso I, Buenos Aires **AUSTRALIA: „Vistula"** (Aust) Pty. Ltd., 77, Pitt Street, Sydney oraz **„Społem"**, 64 Tapley's Hill Rd., Royal Park, Adelaide, S. A. **BELGIA:** Mme E. Kułakowska, 129, Rue du Cornet, Bruxelles 4. Prenumerata kwartalna: 90 frs. **BRAZYLIA: Mme Z. Kietlińska Casa** „Acao", Av. Batel 1514, Curitiba, Parana. **Książnica Polska**, Caixa Postal 5201, Rio de Janeiro, **ks. dr Antoni Łatka**, Praça Cel. Fernando Prestes No. 233, Sao Paulo i **Mons. W. J. Slapa**, Rua Marques de Abrantes 215, Rio de Janeiro. **FRANCJA: ks K. Stolarek, OMI**, 29 Av. Gen. Leclerc, La Ferté-sous-Jouarre, S. et M.), CC 5 603 40. Pren. kwart.: 540 fr. **HOLANDIA: B. Galas**, Fagelstraat 15A, Breda. **KANADA: Canadian Mosaic Publishers**, Suite 1, 4118 Western Ave., Montreal 6. **International Book Service**, 57, Queen Str. W., Toronto **NIEMCY: St. Mikiciuk**, Gablonzerstrasse 7/I. (13b) München 45 o r a z **„Informacja Prasowa"**, Postfach 86, (23) Quakenbrück, Prenumerata kwart. 8 RM. **NORWEGIA: B. Łubiński**, Kongesgat 2, Moss. **STANY ZJEDNOCZONE: „Gryf Publication"**, 296 Sheridan Ave., Albany, N.Y., **Mme J. Stojanowska**, 424 Ave. „E", Bayonne, N.J. oraz **„Pomoc" — Eksport - Import**, 761 Fillmore Ave., Buffalo 12, N.Y. Prenum. kwart. $ 2.00. **SZWAJCARIA: Mgr. A Bocheński**, Case Postale 19, Fribourg 2.Pren. kwart. 5.00 frs. **SZWECJA: Mgr. B. Kurowski**, Lund, Revingegatan 13B. Pren. kwart. 10 kr. **WŁOCHY: Mme Z. Bułhak-Jelska**, via Salaria 300 C. Roma. W sprawach PRENUMERATY i OGŁOSZEŃ prosimy porozumiewać się z przedstawicielami.

Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W. 2. Tel.: PAD 9734.